Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron

Warszawa, 18 czerwca 1950 r.

Nr 12 Rok I

Biblioteka Uczelni Artystycznej SOPOT

JERZY BOREJSZA

NACIŚNIĘCIE GUZIKA CZY PODPIS?

KOLEJNA BITWA O POKÓJ

PO wsiach, gminach, miastach i miasteczkach naszego kraju została zakończona wielka akcja zbierania podpisów pod Sztokholmskim Apelem w sprawie bomby atomowej. Od dwóch lat potężniejąc i rosnąc, rozszerzając i pogłębiając formy walki, trwają i trwać będą w naszym kraju, jak i na całym świecie ciągłe bitwy, boje a nawet potyczki w walce o pokój.

Jesteśmy po kolejnej bitwie o pokój. Na całym świecie trwa ta sama akcja, która już daleko przekroczyła sto milionów podpisów, nie licząc ludności Związku Radzieckiego, który — jak to oświadczył Ilja Erenburg na Zlocie młodzieży niemieckiej w Berlinie — „zna tylko walkę o pokój. Aby jednak zliczyć naszych obrońców pokoju, trzeba byłoby przeprowadzić spis ludności..."

Olbrzymia wstęga podpisów pokoju opasała świat.

W Chinach 30 maja kolejarze złożyli swe podpisy na sztuce jedwabiu długości kilkunastu metrów. W Tunisie 30 maja Apel podpisało czterech szejków, profesorów uczelni przy Wielkim Meczecie, a w kilka dni potem 25 malarzy i rzeźbiarzy. W prowincji Osaka w Japonii pomimo terroru władz amerykańskich podpisało Apel 240.433 osoby. We Włoszech, poza szeregiem wybitnych polityków różnych obozów, podpisali Apel Sztokholmski tylko jednego dnia: poeta Diego Valeri, reżyser filmowy Vittorio de Sitsa, malarz Felice Casoraci, pisarz Vasco Pratolini, jeden z największych romanistów świata, prof. Siro Sollari, prof. Massimo Alojsi. We Francji, poza kwiatem inteligencji twórczej i naukowej, jednego dnia złożyli podpisy pisarze: Pierre Benoit, Michele Lairis, Armand Salacrou, Robert Merle, Henri Malherbe, malarze — Marc Chagall i Henri Matisse, prokurator gen. Mornet, podpisują studenci w Dzielnicy Łacińskiej, wszyscy wybitni aktorzy teatru i filmu, miliony robotników w różnych fabrykach i chłopi. W Niemczech akcja podpisów zdobyła miliony ludności; kiedy w Schweinfurt, pod okupacją anglosaską, aresztowano kilku młodzieżowców, zbierających podpisy, wszczęli oni dyskusję z policjantami, którzy przekonani przez nich złożyli podpis pod Apelem Sztokholmskim. Drut kolczasty przeciw wściekłym awanturnikom wojny rośnie.

Akcja zbierania podpisów w Polsce jest zakończona, tak samo w Rumunii, na Węgrzech, w Czechosłowacji i Bułgarii. Ta akcja pokojowa dała pierwszy przełom w dotarciu na wieś: w Poznańskim mamy 453 komitetów gminnych, 4.262 komitety gromadzkie. Ta bitwa o podpisy spowodowała rozszerzenie ruchu pokoju na nowe, wielkie zastępy bezpartyjnych, wysunęła nowe kadry działaczy, setki księży wzięło udział w tej akcji. W Rzeszowie np. powstał własny Komitet Obrońców Pokoju wśród zakonnic. Jeżeli sięgniemy wstecz i uprzytomnimy sobie nastroje sprzed 4—5 lat, analfabetyzm polityczny szerzony przez kołtuństwo, i szereg listów-oświadczeń nadsyłanych obecnie przez prostych ludzi — łatwo będzie stwierdzić, jak wielkie postępy poczyniliśmy w przełamaniu nastrojów histerii nawet w najbardziej zacofanej części społeczeństwa.

W wielu Komitetach biorą udział księża; jeżeli pewien ksiądz w Rzeszowskim odmówił podpisu twierdząc, że nie chce ani wojny ani pokoju, należy podziwiać głębię jego reakcyjnej intuicji, którą wyczuł on bratnią wiarę w hasłach trockistowskich. Mógłby świeczkę postawić i pomodlić się za agenta amerykańskiego Tito, który w swoim kraju zabronił zbierania podpisów pod Apelem Sztokholmskim. Ten ksiądz widocznie gorliwiej studiuje oświadczenia Tito dla radia amerykańskiego, niż Pismo Święte. Jeżeli Świadkowie Jehowy jak gdyby za osobistą namową Prezydenta Trumana starali się twierdzić, iż nie należy podpisywać Apelu, bo człowiek na nic nie ma wpływu i wszystko zależy od Boga — to te nieliczne, zupełnie odosobnione wypadki świadczą, jak nawet w naszym kraju każda kolejna bitwa o pokój wywołuje zdenerwowanie obcych agentów.

Odmowa podpisania Apelu Sztokholmskiego przez episkopat polski z prymasem Wyszyńskim i kardynałem Sapiehą na czele rzuca osobliwe światło na proimperialistyczną politykę obozu watykańskiego w Polsce, zwłaszcza w zestawieniu z niedawnym artykułem redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego", Jerzego Turowicza, który tak pisał o porozumieniu między rządem a episkopatem: „Praktyczna wartość porozumienia zależy od jego realizacji, za którą wszyscy jesteśmy odpowiedzialni". A jak wiadomo, porozumienie zobowiązywało episkopat do kierowania się p o l s k ą, nie watykańską, tzn. waszyngtońską racją stanu.

W Polsce bitwa pod hasłami sztokholmskimi została zakończona — w świecie kapitalistycznym trwa jeszcze. I jeżeli ktokolwiek miał wątpliwości, jak bardzo skuteczna jest ta akcja, niech zestawi spokojną ofensywę pokoju i wściekłość, zdenerwowanie tą akcją mocodawców trumanowskich.

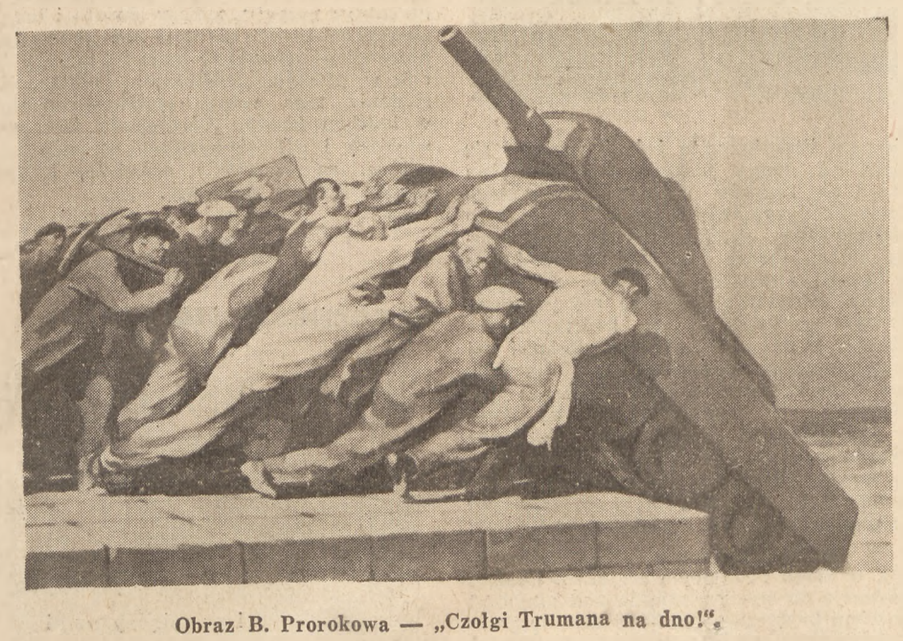

Obraz B. Prorokowa — „Czołgi Trumana na dno!".

W toku akcji został usunięty ze swoich stanowisk we Francji jeden z największych uczonych naszej epoki, Przewodniczący Światowego Komitetu Obrońców Pokoju, prof. Fryderyk Joliot-Curie. Rychło po tym rząd prokury trumanowskiej nad Francją postawił w stan oskarżenia jedną z najwybitniejszych działaczek świata, Przewodniczącą Światowego Zjednoczenia Kobiet, panią Eugenię Cotton za to, że zaprotestowała przeciwko wojnie w Vietnamie. Aż takie zdenerwowanie prokurentów bomby atomowej nie jest niczym dziwnym, skoro Nowy Jork żyje teraz pod znakiem histerycznego zakopywania w lasach, na północy stanu, działek leśnych celem obrony na wypadek wojny od bomby atomowej. Tak powstaje Up-State New-York. A kiedy kolejna bitwa o pokój wzmogła samopoczucie narodów i mas, spokój i pewność siebie — spadkobiercy tępoty hitlerowskiej z domieszką bluffu zapragnęli odpowiedzieć znowu bombą... wodorową, o której Truman zaczął głosić, że bomba ta zniszczy wroga za naciśnięciem guzika i jakiś tam przewód automatycznie, mechanicznie, szybkostrzelnie, bez jednej straty, w mig pokona przeciwnika. Po kilku dniach grupa fizyków amerykańskich zdobyła się na odwagę, aby oświadczyć, że bomba wodorowa jest nonsensem naukowym. Może to oświadczenie nastąpiło dlatego, że bomba atomowa potrafiła zastraszyć tylko samych trumanowców. Naciśnięcie bluffiarskiego guzika przestało być odpowiedzią na akcję podpisów. Nie należy pomniejszać wagi tych bluffów i trafnie stwierdza organ radzieckiego ruchu pokoju „Zwolennicy Pokoju": „W rzeczy samej, jest rzeczą jasną, że i ten kto nie wierzy w niebezpieczeństwo wojny, i ten kto uważa iż wojna jest nieunikniona, niczego poważnego nie uczynią dla obrony sprawy pokoju — pierwszy dlatego, że nie widzi konieczności takich poczynań, drugi dlatego, że uważa je za bezpłodne. Oba te stanowiska powodują postawę wyczekującą, określoną neutralność, która w ostatecznym rachunku działa na rękę podżegaczy wojennych, ale bynajmniej nie służy sprawie pokoju."

Zestawmy dwa zjawiska zaszłe w maju, aby wyskrobać z niektórych dusz może tkwiące w nich jeszcze resztki wątpliwości co do skuteczności strategii i taktyki ruchu pokoju.

W maju było, jak pisaliśmy, szereg objawów zaniepokojenia nową ofensywą pokoju wśród spadkobierców Hitlera. Dnia 22 maja, w „dniu wojska" w Stanach Zjednoczonych, generał J. Lawton Collins wygłosił dłuższe przemówienie poświęcone nowej zenitce, która rzekomo ma być skuteczna na wysokości do 12 mil ponad ziemią. Było to w dniu, w którym minister wojny Johnson złożył wieniec na grobie Forrestala, samobójcy oszalałego po klęsce „teorii" bomby atomowej.

„Zapewniam was — mówił generał J. Lawton Collins — że ta nowa broń potrafi zniszczyć wszelkie atakujące samoloty. To jest szczególnie istotny postęp w obronie amerykańskich domów i warsztatów pracy." Po czym generał dalej uspokajał swoich ziomków, że obrona przeciwlotnicza jest zapewniona. Że też szef sztabu kraju, którego rząd zapowiadał po zakończeniu wojny, iż w mgnieniu oka opanuje świat, musi obecnie uspakajać swych rodaków!

W tym samym „dniu wojska" w Berlinie odbyła się w sektorze amerykańskim defilada tysiąca żołnierzy. Ale wobec tego, że na dzień 27—28 zapowiedziany był w Niemieckiej Republice Demokratycznej zlot postępowej młodzieży — „wojsko" amerykańskie rozpoczęło codzienne manewry zastraszające w sektorze anglosaskim Berlina. Gdy jednak na zlot stawiło się pół miliona młodzieży, dziennikarze amerykańscy zaczęli myśleć o tym, jak oszukać własny naród: zaczęli rzucać z trybuny pomarańcze, w nadziei, że się demonstranci połakomią, i że będzie można zamieścić w „New York Timesie" dużą fotografię pod tytułem: „Wygłodniała młodzież niemiecka zajada amerykańskie pomarańcze." To znaczy: mamy mięso armatnie. I rzeczywiście, młodzież podniosła pomarańcze — które znalazły się wnet na głowach dziennikarzy amerykańskich.

Młodzież niemiecka, przybyła również z Zachodu, podpisywała Apel Sztokholmski, witała gorąco delegację radziecką i polską i żadne groźby jankesowe nie potrafiły zastraszyć tej młodzieży, której rząd zawarł w kilka dni po tym historyczne układy z naszym rządem w Warszawie. I dla nikogo w Stanach Zjednoczonych nie ma już chyba wątpliwości, że rośnie i rozwija się nowe pokolenie młodzieży niemieckiej, całkowicie przeobrażonej — która mięsem armatnim dla Wall Street nie będzie.

A jeżeli twórczość naprawdę ma wiązać się do tej wielkiej walki — gdzie tkwi sedno sprawy, gdzie tkwi przyczyna, że zamiast pacyfistycznego ruchu niemocy i staroprofesorskich parasolek, służących za punkt oparcia dla sennej głowy podczas długich i nudnych pacyfistycznych przemówień, mamy obecnie tak prężny, pełen energii masowy ruch narodów świata, że akcja podpisów łącząca robotników i chłopów, profesorów i pisarzy, inteligencję twórczą i techniczną, stała się realną wielką mocą, potęgą, która potrafi stworzyć kratę dla wściekłych psów anglosaskiego imperializmu?

STRATEGIA I TAKTYKA RUCHU POKOJU

Tajemnica realnej mocy współczesnego ruchu pokoju tkwi w tym, że nie jest on znachorską próbą zaklinania złych duchów wojennych, ale wynika z założeń strategii i taktyki stalinowskiej, z głębokiego humanizmu i prawdy naukowej, która mówi: t e c h n i k a b e z c z ł o w i e k a j e s t n i c z y m, t e c h n i k a n i e m o ż e b y ć i n i e b ę d z i e n a r z ę d z i e m u j a r z m i e n i a l u d z k o ś c i. Użyta przez zbrodniarzy, technika może, rzecz jasna, być środkiem bolesnych i dotkliwych zniszczeń kultury i ludzi, ale ostateczne zwycięstwo należy do człowieka, w którego rękach technika jest nieograniczonym środkiem ujarzmienia przyrody. Strategia i taktyka ruchu pokoju wynika więc z socjalistycznego realizmu w poglądzie na rolę człowieka, ludzkości, z w i a r y w c z ł o w i e k a, z przekonania, że świadome kadry ludzkie zadecydują i zwyciężą.

T a t a k t y k a i nade wszystko na długę metę obliczona s t r a t e g i a r u c h u p o k o j u wynika m. i. z głębokiej analizy przemian, jakim ulega s t r a t e g i a i t a k t y k a w o j e n n a g i n ą c e g o ś w i a t a.

Począwszy od pierwszej wojny światowej aż do bełkotu o broni wodorowej mamy jedną konsekwentną linię rozwoju albo może raczej już degeneracji teorii i praktyki wojennej świata imperializmu. Na początku swego panowania Mussolini jeszcze sądził, że uda mu się zmobilizować mięso armatnie włoskich robotników i chłopów do przyszłej wojny, mówił o milicji ludowej, która będzie kontynuowała „tradycje zawziętości i zaciętości, z nożem w zębach, z bombą w ręku, przy wzniosłej pogardzie dla niebezpieczeństwa w sercu."

Ale wkrótce zaczął w kółko powtarzać to, co w czerwcu roku 1927 powiedział w Izbie Deputowanych:

„Jest rzeczą nieodzowną, ażeby nasze lotnictwo, w które wierzę coraz silniej, było tak liczne i potężne, i ż b y w a r k o t j e g o m o t o r ó w z a g ł u s z y ł w s z y s t k i e i n n e h a ł a s y n a c a ł y m p ó ł w y s p i e, a s z e r o k o ś ć j e g o s k r z y d e ł p r z e s ł o n i ł a s ł o ń c e c a ł e j n a s z e j z i e m i. Osiągnąwszy ten cel, będziemy w stanie jutro, to znaczy między rokiem 1935 a 1940, kiedy Europa stanie na nowym zakręcie historii — zmusić innych do posłuchu i do uznania naszych praw..."

Mussolini mówi śmiesznym stylem o jakichś hałasach — snadź niepokojących — na własnym półwyspie, o potrzebie przykrycia słońca nad Włochami. W tym kryje się jednak „prawda" zawarta w teorii włoskiego generała Douheta o panowaniu w powietrzu, o zastąpieniu piechoty kadrą lotników, i w teoriach hitlerowskich, i w teoriach forrestalowskich — oderwania wojny od piechura, od c z ł o w i e k a, który po Rewolucji Październikowej a potem szczególnie po drugiej wojnie światowej uzmysłowił sobie, że inny świat jest realny, gdzie technika, energia atomowa, wynalazki służą sprawie zdobycia przyrody i stałego rozwoju narodów.

Hitlerowska „teoria" Wunderwaffe — „cudownej broni", jak również Blitzkriegu — „błyskawicznej wojny", powtarzająca się także po drugiej wojnie światowej w bardzo uproszczonym wydaniu amerykańskim, ma potrójny cel:

P o p i e r w s z e — przyzwyczaić narody do nieuniknionej wojny i nieuniknionej klęski. Najtrafniej określa ten cel oraz podobne metody organ radzieckiego komitetu obrony pokoju:

„Po to, aby prowadzić wojnę, potrzebne są narody, a po to, ażeby je popędzić na wojnę, należy przede wszystkim przyzwyczaić narody do możliwości wojny. Metoda takiej obróbki polega na tym, żeby przekonać narody, iż wojna jest nieunikniona, a potem ogłosić, że jest konieczna. Taką propagandę stosowali Hitler i Mussolini, zanim rzucili naród niemiecki i naród włoski do wojny zaborczej. I tę propagandę obecnie wznawiają nowi podżegacze wojenni."

Pamiętamy dobrze, jakie szkody w Polsce w r. 1939 wyrządziła w dziele demobilizacji woli i siły narodu, podobna propaganda. Stąd nauka, jaką wyciągnął współczesny ruch pokoju, który walczy o uświadomienie polityczne każdego człowieka podpisującego Apel pokoju. Dlatego każdy administracyjny nieświadomy podpis jest pustym nabojem, każdy zespół świadomych podpisów — zaporą z drutu kolczastego przeciw podżegaczom wojennym.

D r u g i m propagandowym celem „cudownej broni" i „błyskawicznej wojny", tak reklamowanej przez bluffiarzy z Waszyngtonu — jest uspokojenie własnego społeczeństwa. Uspokojenie drogą zapewnienia swego narodu, że wojna nie spowoduje ofiar w ludziach, że nastąpi szybkie zwycięstwo przy pomocy lotnictwa (włoski generał faszystowski Douhet, książka „O panowaniu w powietrzu"), przy pomocy wojsk kadrowych (niemiecki generał von Seeckt), przy pomocy czołgów (faszysta hitlerowski generał Guderian i francuski faszysta

Delegacja Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju przed gmachem sejmu w Warszawie

Zofia Czajka z dwumiesięczną córeczką Halinką podpisuje Apel Pokoju

Władysława Kotas, wychowawczyni sezonowego żłobka spółdzielni produkcyjnej Jaworzyna, podpisuje Apel Pokoju

generał De Gaulle), przy pomocy bomby atomowej (Forrestal, amerykański faszysta, zwariował i popełnił samobójstwo, oraz trockista amerykański James Burnham), no i przy pomocy bomby bluffowej czyli wodorowej (pan Truman).

Ci, którzy widzieli żołnierzy niemieckich podczas ostatniej wojny na froncie, pamiętają, jak boleśnie reagowali na niszczenie ich miast, domostw, rodzin. Stąd usłużny trockistowski publicysta Burnham w swojej książce „The Managerial Revolution" (r. 1941) doradzał natychmiastową napaść, celem zniszczenia miast w ZSRR.

Ten wewnętrzno-propagandowy cel cudownych broni jest dla rządu Stanów Zjednoczonych bardzo istotny, gdyż w dwóch pierwszych wojnach światowych dorobiły się one dolarów na krwi żołnierzy europejskich. Jest rzeczą jasną, że tym razem trzeba w najnikczemniejszy sposób oszukać matki Amerykanki kłamstwem o cudownej broni i szybkiej wojnie, aby dały swych synów. Dlatego Baruchy, Lippmanny i Elioty głoszą, że wojna jest nieunikniona. I po rasistowskim obłąkanym imperialiście i antysemicie Hitlerze, z kolei milioner żydowski Bernard Baruch oświadcza: „Pokój jest tylko czasową i nieistotna przerwą... Pokój wydaje się być przepiękny w czasie brutalności wojennych, ale staje się prawie znienawidzony, gdy się wojna kończy..."

I trzeba zakończyć tę piękną myśl pana Barucha, który wykazał swą jedność klasową z Hitlerem: szczególnie pokój jest znienawidzony, gdy się kończą renty i gigantyczne zarobki na krwi narodów.

Dlatego ruch pokoju we wszystkich krajach kapitalistycznych, przede wszystkim zaś we Francji, w Niemczech, we Włoszech, w Anglii, wyjaśnia, że tym razem ani ludy kolonialne, ani — nade wszystko — narody europejskie nie dadzą imperializmowi mięsa armatniego.

I dlatego współczesny ruch pokoju tak niepokoi i paraliżuje imperialistów, bo ich pozbawia piechoty, bo ich pozbawia mięsa armatniego.

Po trzecie: W obawie przed własnymi narodami, wobec niemożności po drugiej wojnie światowej montowania masowych ruchów faszystowskich i potrzeby zastępowania ich dyktaturami klik wojskowych, jak Tito, wobec porażki De Gaullów, Schumacherów, Mochów i innych kandydatów na nowe wydanie Hitlerów i Mussolinich — zwolennicy cudownej broni i błyskawicznej wojny szukają zapewne poważnie wyzwolenia się od zmory tak strasznie niepewnych ludzi, ludów i narodów.

Nic dziwnego, że zdrajca z Vichy, Pétain pisał w przedmowie do francuskiego wydania książki Douheta, że to klasyk i geniusz.

Ludy i narody stają się coraz bardziej niepewne: a amerykański działacz imperialistyczny Kreps w swoim referacie na temat „Technika i człowiek" w kwietniu roku 1940 powiedział: „Wojna jest rzeczywiście tym ideałem, do którego dąży nasz zmechanizowany system przemysłu."

(„Technology and Concentration of Economic Power").

„O człowieku i technice w wojnie współczesnej" napisał dla miesięcznika naszych oficerów M. Kisielew, radziecki kandydat nauk („Nasza Myśl" — Nr 2, luty 1949):

„Całkowicie zdała egzamin doktryna radzieckich sił zbrojnych, wychodząca z założenia harmonijnego rozwoju i wszechstronnego użycia wszystkich rodzajów broni, zwłaszcza teoria, że decydującą rolę w rozstrzygnięciu losów wojny grają stale działające czynniki — siła zaplecza, morale i uzbrojenie armii, ilość i jakość dywizji, zdolności organizacyjne kadry dowódczej... Zwycięstwo można uzyskać tylko we współdziałaniu i w zgodnej współpracy wszystkich rodzajów wojsk, z tym, że takie bronie, jak piechota i artyleria w najmniejszej mierze nie straciły swojego znaczenia na skutek rozwoju techniki.

Piechota pozostaje podstawowym rodzajem wojska, a artyleria — jego główną siłą uderzeniową. Stworzona przez geniusz wielkiego Stalina radziecka doktryna wojskowa pokazała w czasie ostatniej wojny, iż jest najbardziej przodującą, najsilniejszą doktryną wojskową współczesności. Zbankrutowała natomiast podczas wojny teoria supermechanizacji."

Chciałoby się na zakończenie wywodów o teoriach, o strategii i taktyce wojennej wroga przypomnieć, że jeszcze przed zakończeniem wojny, gdy wojska hitlerowskie stały nad Wisłą, niektórzy tkwili w przekonaniu, iż Hitler użyje gazów. Piszący te słowa słyszał, jak oficer szkoły stalinowskiej powiedział: „Bzdura, on wie, że odpowiemy gazami, i wywoła nienawiść swego narodu. Straci resztę zaplecza i resztę narodu, przyśpieszy swoją klęskę."

Ruch pokoju odpowiedział Apelem Sztokholmskim na poczynania podżegaczy wojennych. U podstaw naszej taktyki i strategii pokoju tkwi stalinowska wiara w to, że — jak pisze w cytowanym artykule Kisielew:

„Pozostaje w mocy najbardziej „ludzki" rodzaj broni — piechota. Nie można ponad to negować decydującej roli człowieka w lotnictwie, w artylerii i broni pancernej.

Rozwój techniki nie zmniejszył wysiłku, jakiego wymaga od człowieka wojna. Dziś na wojnie wymaga się od człowieka nie mniejszego lecz w wielu wypadkach większego niż dawniej wysiłku fizycznego, moralnego samozaparcia i wojskowych umiejętności."

Oto co określa nie znachorskie zaklęcia pacyfistyczne — ale naukowe podstawy strategii i taktyki ruchu pokoju. Mobilizujemy światową piechotę pokoju, która może być i będzie zaporą na drodze wojny. I dlatego realny podpis pod Apelem Sztokholmskim ma realną moc i znaczenie.

Mobilizujemy lud w krajach kroczących do socjalizmu, do maksymalnego wysiłku, aby produkcja szła jak najszybciej naprzód. Aby nade wszystko nasz człowiek, człowiek Polski Ludowej był odpornym, zahartowanym żołnierzem pokoju dla swego kraju.

Jerzy Borejsza

SEWERYN POLLAK

GORKI UCZY

18 czerwca mija 14 rocznica śmierci Maksyma Gorkiego. Wielki pisarz, który w twórczości swej wyszedłszy z realizmu krytycznego zdołał w praktyce literackiej ukazać perspektywy realizmu socjalistycznego, był też jednym z pierwszych, który teoretycznie wysunął problem realizmu socjalistycznego.

Zagadnienie zasadniczych różnic między realizmem krytycznym a socjalistycznym wielokrotnie było w naszej literaturze omawiane, niemniej warto przypomnieć tu podstawowe tezy Gorkiego, wypowiedziane na I Zjeździe Związku Pisarzy Radzieckich, zwłaszcza, że tezy te mają znaczenie bardzo istotne dla nas, w związku ze zbliżającym się Zjazdem delegatów ZLP, gdzie niewątpliwie na porządku dziennym znajdzie się sprawa wzmocnienia ideologicznych podstaw Związku Literatów Polskich.

Referat Gorkiego stał się jak gdyby deklaracją ideową, punktem wyjścia dla całej literatury realizmu socjalistycznego.

Rozważania swoje o realizmie w literaturze, o realizmie krytycznym, zaczyna Gorki od określenia pozytywnej roli folkloru, gdzie w micie, w legendzie, w pozytywnych postaciach bohaterów folkloru harmonijnie skojarzyły się, wedle słów Gorkiego, ratio i intuitio, myśl i uczucie. Takie skojarzenie możliwe jest jedynie przy bezpośrednim udziale twórcy w artystycznym tworzeniu rzeczywistości, w walce o odnowienie życia. Gorki stwierdza, że najbardziej głębokie, wyraziste, artystycznie pełne typy bohaterów, stworzone zostały przez folklor, przez ustną twórczość ludu pracującego. Zaznacza przy tym, że folklorowi obcy jest pesymizm, mimo że twórcy folkloru żyli w warunkach ciężkich, udręczających, że ich niewolnicza praca była pozbawiona przez wyzyskiwaczy sensu a życie osobiste opieki prawa.

„Mit to wymysł — powiada Gorki. — Wymyślić to znaczy wyciągnąć z sumy realnych danych ich podstawowy sens i wcielić w obraz — tak osiągamy realizm. Ale jeżeli do sensu tego co wyciągnęliśmy z realnych danych dodamy — domyślimy zgodnie z logiką hipotezy to czego pragniemy, możemy i tym jeszcze dopełnić obrazu, a wtedy otrzymamy ten romantyzm, który leży u podstaw mitu i jest dla nas bardzo pożyteczny przez to, że sprzyja powstawaniu rewolucyjnego stosunku do rzeczywistości, stosunku, który w praktyce zmienia świat."

W tych sformułowaniach mieści się już dokładne określenie romantyzmu, który jest nieodłącznym czynnikiem realizmu socjalistycznego, określenie romantyzmu socjalistycznego, o którym jakże często zapomina się przy rozważaniach na temat socjalistycznego realizmu. Mieści się w tym sformułowaniu również określenie tak zwanego bohatera pozytywnego, dalekiego od szablonu, jaki usiłują narzucić temu pojęciu wrogowie socjalistycznego realizmu, a często i zwolennicy, tacy, którzy pojmują postać bohatera pozytywnego mechanicznie, zapominając o tym, że pierwowzór swój wywodzi ona od bohaterów wielkich mitów ludzkości — od Prometeusza, Heraklesa poprzez doktora Fausta aż do postaci Włodzimierza Lenina, o którym Gorki wyraża się, że folklor naszych dni wyniósł go na wyżyny mitycznego bohatera starożytności równego Prometeuszowi.

„Społeczeństwo burżuazyjne — powiada Gorki — całkowicie zatraciło zdolność zmyślenia w sztuce. Logika hipotezy pozostała i działa pobudzająco jedynie w dziedzinie nauk, nauk opartych na eksperymencie. Burżuazyjny romantyzm indywidualizmu, z jego skłonnością do fantastyki i mistyki, nie pobudza wyobraźni, nie wydoskonala myśli. Abstrakcyjny, oderwany od rzeczywistości, buduje się nie na przekonywającym obrazie, lecz prawie wyłącznie na „magii słowa", jak widzimy to u Marcela Prousta i jego naśladowców. Romantycy burżuazji, począwszy od Novalisa — to ludzie typu Piotra Schlemihla, „człowieka, który zgubił swój cień", a Schlemihla stworzył Chamisso, emigrant francuski, który pisał w Niemczech po niemiecku. Literat dzisiejszego Zachodu również zgubił swój cień, emigrując z rzeczywistości w nihilizm rozpaczy... i nie mając żadnych danych, aby „doszlusować" do rewolucyjnego proletariatu, całkowicie dojrzał do przyjęcia faszyzmu".

Powołuje się tu Gorki na głośną wówczas książkę Céliné'a „Podróż do kresu nocy". Ten przykład, przytoczony w r. 1934, świadczy o wielkiej przenikliwości Gorkiego, o jego znakomitej umiejętności klasowej interpretacji zjawisk literackich. Jak wiemy, historia potwierdziła ocenę wielkiego pisarza, tak samo jak późniejsze lata odsłoniły klasowo wrogi dla proletariatu charakter twórczości Sartre'a i jego naśladowców.

„Co doprowadziło literaturę Europy do twórczej bezsilności, jaka przejawiła się w XX wieku? — zapytuje Gorki. — Zażarcie i wielosłownie broniono wolności sztuki, wszechmocy twórczej myśli, wszelkimi sposobami dowodzono możliwości pozaklasowego bytu i rozwoju literatury, niezależności jej od polityki społecznej. To dowodzenie było złą polityką, właśnie ono w sposób niedostrzegalny doprowadziło wielu literatów do konieczności zwężenia kręgu obserwacji rzeczywistości, wyrzeczenia się szerokiego, wszechstronnego jej badania, do zamknięcia się „w samotności własnej duszy", do zatrzymania się na bezpłodnym „poznaniu siebie samego" drogą wgłębiania się w siebie samego, puszczania samopas myśli oderwanej od życia. Okazało się, że człowieka nie można poznać poza rzeczywistością, która cała na wskroś jest przesiąknięta polityką. Okazało się, że człowiek, choćby nie wiem jak wymyślnie sam siebie zgłębiał, tak czy inaczej pozostaje jednostką społeczną, a nie kosmiczną, na podobieństwo planet. A następnie okazało się, że indywidualizm przemieniając się w egocentryzm tworzy „ludzi zbędnych".

Dalej zastanawia się Gorki nad rozszczepieniem, jakiemu uległa literatura burżuazyjna. Jeżeli część pisarzy burżuazyjnych poświęciła swoje talenty wyłącznie wychwalaniu i zabawianiu pewnej klasy, jeżeli stali się oni apologetami najbardziej jałowej i wstecznej pod względem ideologicznym literatury, to jednak znalazła się niewielka grupa pisarzy, których można uznać za twórców realizmu krytycznego i rewolucyjnego romantyzmu. Pisarze ci to odszczepieńcy, „synowie marnotrawni" swojej klasy, którzy potrafili wyrwać się z dusznej atmosfery tej klasy, a którym jednak warunki historyczne nie pozwoliły dostrzec zarodków nowych, twórczych możliwości w masach ludowych. Książki tej grupy pisarzy europejskich są dla nas, jak twierdzi Gorki ,podwójnie cenne: „po pierwsze, jako technicznie wzorowe utwory literackie, po drugie, jako dokumenty wyjaśniające proces rozwoju i rozkładu burżuazji, dokumenty stworzone przez odszczepieńców tej klasy, lecz wyjaśniające krytycznie jej życie, tradycje i działania".

U nas, w warunkach demokracji ludowej, w kraju budującym socjalizm istniały tendencje do wyolbrzymiania roli arcydzieł realizmu krytycznego XIX wieku i do przenoszenia, zbyt bezpośredniego, doświadczeń tej literatury na nasz grunt. Nie pomniejszając absolutnie znaczenia tradycji literackiej, z której doświadczeń winniśmy bezwzględnie korzystać, musimy stale pamiętać o tym, że klasa robotnicza stawia inne zupełnie wymagania swej literaturze i że postulaty realizmu socjalistycznego daleko wybiegły swymi perspektywami poza wąskie, ciasne możliwości realizmu krytycznego, którego pozytywne osiągnięcia miały ograniczony zakres i skończyły się wraz z przekroczonymi etapami walki klasowej.

„Musimy się nauczyć, że realizm krytyczny powstał jako indywidualna twórczość „ludzi zbędnych", którzy, niezdolni do walki o życie, nie znajdując sobie w nim miejsca i bardziej lub mniej wyraźnie zdając sobie sprawę z bezcelowości osobistego życia, rozumieli tę bezcelowość tylko jako bezmyślność wszystkich tych zjawisk życia społecznego i całego procesu historycznego.

Bynajmniej nie negując szerokiej, olbrzymiej roboty realizmu krytycznego, wysoko oceniając jego formalne osiągnięcia w sztuce malarskiej, powinniśmy zrozumieć, że ten realizm niezbędny jest dla nas jedynie dla wyjaśnienia przeżytków przeszłości, dla walki z nimi, dla ich wypleniania" — stwierdza Gorki.

Oczywiście w zdaniu tym Gorki pominął klasowe podłoże indywidualnego buntu tych, których nazywa „ludźmi zbędnymi". Rzecz jasna, nie można w oderwaniu od tego podłoża traktować formalnych osiągnięć w malarstwie. Te prawa zależności od warunków społecznych, które obowiązują w jednej dziedzinie sztuki, obowiązują również we wszystkich innych.

Głęboko słuszne jest zdanie Gorkiego o podstawach i celach nowej literatury, literatury odzwierciadlającej życie i dążenia proletariatu. Udzielając w tej literaturze wiele miejsca sprawie wyobraźni twórczej, sprawie indywidualności pisarskiej, Gorki stwierdza: „Za podstawowego bohatera naszych książek powinniśmy obrać pracę, to znaczy człowieka, którego organizuje proces pracy, który uzbrojony jest u nas w całą potęgę współczesnej techniki, człowieka, który z kolei organizuje pracę czyniąc ją coraz lżejszą, produktywniejszą, wznosząc ją na wyżyny sztuki. Musimy nauczyć się rozumieć pracę jako twórczość. Twórczość jest to pojęcie, którym my, pisarze, operujemy zbyt często, niezawsze mając do tego prawo. Twórczość jest to wysilona praca pamięci w tym stopniu, kiedy szybkość jej działania wyciąga z zapasu wiedzy, wrażeń, najbardziej plastyczne i charakterystyczne fakty, obrazy, szczegóły i włącza je w najbardziej dokładne, barwne, ogólnie zrozumiałe słowa".

W dalszym ciągu swoich rozważań Gorki podkreśla wagę przedstawiania w literaturze emocjonalnego procesu przemian, jakie zachodzą w kraju budującym socjalizm, w Związku Radzieckim, ale przedstawianie tego procesu emocjonalnego jest niemożliwe bez emocjonalnego stosunku twórcy do tych przemian i do swojego dzieła. Pisarz w czasach wielkich przemian społecznych musi umieć gorąco kochać i gorąco nienawidzieć. O tym my, dzisiaj, na etapie wzmożonej walki klasowej powinniśmy stale pamiętać w naszej pracy twórczej. Ten stosunek do rzeczywistości i do pracy literackiej jest miarą uczciwości pisarza w naszych czasach. I tak też należy rozumieć słowa Gorkiego, które równie dobrze odnoszą się i do nas, w Polsce dzisiejszej, w Polsce socjalistycznego wysiłku: „U nas w Związku Radzieckim nie powinno, nie może być ludzi zbędnych. Każdy obywatel ma szeroką swobodę rozwoju swoich zdolności, talentów. Od jednostki wymaga się tylko jednego: bądź uczciwy w swoim stosunku do bohaterskiej pracy tworzenia społeczeństwa bezklasowego".

Ten nakaz moralny odnosi się w najwyższym stopniu do pisarzy, i to zarówno pisarzy partyjnych, jak bezpartyjnych. Jednocześnie zdanie Gorkiego stanowi punkt wyjścia dla akcji rozszerzania kadr pisarskich. Sprawa kadr będąca węzłowym zagadnieniem rozważań ostatniego Plenum KC PZPR, musi znaleźć odbicie również w literaturze. Musimy docenić konieczność przyciągania do literatury nowych sił, zwłaszcza rekrutujących się spośród młodzieży robotniczo-chłopskiej, która biorąc bezpośredni udział w budowie socjalizmu potrafi nadać literaturze ton żywy, bojowy, godny czasów, w jakich żyjemy.

„Państwo proletariuszy powinno wychowywać tysiące świetnych „majstrów kultury, inżynierów dusz". Jest to niezbędne, aby wrócić całej masie ludu roboczego odebrane jej na całym świecie prawo do rozwoju rozumu, talentów, zdolności — powiada Gorki. — Ten cel, praktycznie możliwy do zrealizowania nakłada na nas, pisarzy konieczność surowej odpowiedzialności za naszą pracę i za nasze zachowanie się w społeczeństwie. Stawia nas to nie tylko w tradycyjnej dla realistycznej literatury pozycji „sędziów świata i ludzi", „krytyków życia", ale daje nam prawo bezpośredniego udziału w budowie nowego życia, w procesie „zmieniania świata". Posiadanie tego prawa powinno wzbudzić w każdym pisarzu świadomość jego obowiązków i odpowiedzialności za całą literaturę, za wszystkie zjawiska, których w niej być nie powinno".

Następnie wychodząc z tych założeń Gorki przechodzi do określenia celów zjazdu Związku Pisarzy Radzieckich. Mówi, że Związek powinien postawić sobie za cel nie tylko „zawodowe sprawy pisarzy, lecz również sprawy literatury jako całości. Związek powinien w jakimś stopniu wziąć na siebie kierownictwo armią początkujących pisarzy, powinien ją organizować, rozdzielać jej siły na najrozmaitsze prace i uczyć pracy na materiale przeszłości i współczesności".

„Musimy koniecznie wiedzieć — mówi Gorki — co było w przeszłości, lecz nie tak jak nam o tym już opowiedziano, ale tak jak to wszystko oświetla nauka Marksa-Lenina-Stalina, i tak, jak to jest realizowane przez pracę w fabrykach i na polach, przez trud, który organizuje, którym kieruje nowa siła historii — wola i rozum proletariatu Związku Republik Radzieckich".

Te cele, te zadania, jakie stawiał Gorki Związkowi Pisarzy Radzieckich, w najogólniejszych zarysach można również i należy postawić przed Zjazdem Związku Literatów Polskich w szóstym roku istnienia Polski Ludowej.

Seweryn Pollak

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI — **Przełożył ARTUR SANDAUER**

WIERSZ O NIEWIERNYM TOMASZU

Budujemy komunę,
że idzie grom aż
na wieść
o jutrzejszej erze,
lecz między nami
pęta się
Tomasz
i on
w nic a nic
nie wierzy.
Osiągnięć
podaj mu
całą skalę,
na każdy
smak
i gust.
Tomasz
na osiągnięcia
niedbale
skrzywi się
kątem ust.
Halę
pokażesz mu,
grzmiącą od maszyn:
— Przekonaj się
o sukcesie! —
Sennym ją okiem
obrzucą Tomasze;
— Nie bardzo
wierzyć
nam chce się! —
Budowę
mu podsuń
pod nos:
— Oto masz ją!
Podziwiaj dachy
i wieże! —
Nic
nie rozjaśni
twarzy Tomasza
Obejrzy
i westchnie:
— Nie wierzę! —
Słuchajcież
wy,
towarzyszu T.!
Wasz styl
nam nie odpowiada.
Niewiele rozumu
posiada ten,
kto wciąż
wyrzeka
i biada.
I z uwielbień —
rzecz jasna —
korzyść niewielka.
Lecz słuchaj,
kliko Tomaszów:
już my
się obejdziem
bez waszych uwielbiań,
wy tylko
nie wadźcie nam
w marszu.

WIKTOR WOROSZYLSKI

WRACAM Z BERLINA

I

— We wspaniałych żyjemy czasach, przyjacielu. — Tymi słowy zacząłem przed paroma tygodniami swój prywatny list z Berlina, pisany na kolanie, w pośpiechu, obolałą od oklasków dłonią, przy akompaniamencie chóralnych okrzyków „Freundschaft" i radosnych młodzieżowych pieśni... Było to w niedzielę 28 maja, na trybunie w Lustgartenie, przed którą od kilku godzin manifestowały błękitnobluze szeregi roześmianych, niespeszonych przez deszcz ani wytrwale unoszący się nad Berlinem amerykański helikopter, chłopców i dziewcząt z FDJ.

To poczucie wielkości, wspaniałości naszych czasów nie opuszczało mnie podczas majowej wizyty w Berlinie ani na chwilę. Czyż mogą bowiem być czasy piękniejsze i większe od tych, w których z narodu spada wieloletnia skorupa brudu i zła, aby ukazać światu nowe, nieznane dotychczas i nieoczekiwane oblicze tego narodu? Ten proces spadania skorupy, proces zmiany charakteru narodowego dokonuje się w Niemczech Wschodnich od pięciu lat. Przejawy tego procesu obserwuje się na każdym kroku. Kongres młodych bojowników o pokój i wielki pokojowy przemarsz przez Berlin siedmiuset tysięcy młodych Niemców — stały się tego procesu kulminacyjnym punktem.

Różni Schumacherowie i ich anglosascy mocodawcy podczas zlotu berlińskiego wielokrotnie manifestowali swą bezsilną wściekłość. Cóż, miara nienawiści może być czasem pomocna dla ustalenia miary przyjaźni. Niemiecka Republika Demokratyczna cieszy się nienawiścią tych samych ludzi, tych samych środowisk, które nienawidzą nas.

II

Nowe Niemcy są młode. Ich masowy aktyw, ich czołówka — to dwudziestoletni chłopcy i dziewczęta.

Starsze pokolenie w bardzo dużej swej części było sfaszyzowane. Faszystów w Niemczech Wschodnich bezwzględnie i stanowczo usunięto z życia publicznego. Ta część starszego pokolenia, która nie brała udziału w zbrodniach hitlerowskich, która ich nie aprobowała, jest na ogół zmęczona, zrezygnowana.

Przed kilkoma laty Ryszard Matuszewski szukał w Berlinie dziesięciu sprawiedliwych. Znalazł ich — wrócili właśnie z obozów, z emigracji. Sytuacja ich jednak — osamotnionych we własnym pokoleniu — była niezwykle trudna. I oto dziesięciu sprawiedliwych zwróciło się do młodzieży: pomóżcie nam, chodźcie z nami, budujcie, twórzcie w imię nowych, innych niż dawniej, pokojowych i wolnych Niemiec!

Dnia 6 czerwca zostały podpisane w Warszawie układy między Rzeczpospolitą Polską, a Niemiecką Republiką Demokratyczną.
Na zdjęciu: podpisują wiceprzewodniczący P.K.P.G. minister E. Szyr (ze strony polskiej i wiceminister planowania B. Leuschner (ze strony N.R.D.). foto AR.

Sens polityczny przemian, jakie dokonały się w Niemczech, da się streścić w kilku zdaniach. Niemiecka Republika Demokratyczna jest krajem pokojowym i antyimperialistycznym. Niemiecka Republika Demokratyczna za swoje czołowe zadanie uważa odkupienie wielkich win narodu niemieckiego i utrwalenie szczerej, głębokiej przyjaźni z narodami Związku Radzieckiego, Polski oraz innych krajów, które w niedawnej przeszłości szczególnie dotkliwie odczuły zbrodnie hitlerowskich najeźdźców a dziś przodują w budowie socjalizmu i walce o pokój. O obliczu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, o perspektywach jej dalszego pokojowego rozwoju decydują nie te siły, które jak pamięć sięga władały tym krajem — nie wywłaszczeni junkrzy i baronowie przemysłu, nie reakcyjna soldateska, nie socjaldemokratyczni zdrajcy — decydują siły postępu, siły sprawiedliwości społecznej, niemiecka klasa robotnicza, niemiecka rewolucyjna inteligencja, niemiecka wolna młodzież.

Nasza delegacja na Zlot młodzieży niemieckiej składała się w przeważającej części z aktywu politycznego ZMP — byliśmy więc w zasadzie dobrze przygotowani na zrozumienie faktu, że ustrój zmienia człowieka, że przełom mógł i powinien był nastąpić. A przecież i my byliśmy wręcz oszołomieni — już nie tyle znanymi uprzednio faktami, ile atmosferą demokratycznego Berlina, atmosferą, której nie odda, nie powtórzy żadna publicystyka.

Kiedy wysiadałem z samolotu na lotnisku Schönfeld, wokoło stała młodzież — prosta, szczera, serdeczna. Stały dziewczęta z Volkspartei o twarzach łódzkich robotnic i chłopcy o szerokim uśmiechu młodych budowniczych Mokotowa. Niemcy? Ależ tak, Niemcy. Inni, nieznani dotychczas. Kiedy szliśmy przez długi szpaler wiwatujących, obsypujących nas kwiatami FDJ-owców, kiedy słuchaliśmy ich pieśni i okrzyków na cześć Polski, nachyliła się do mnie uczestniczka naszej delegacji, członkini okupacyjnego ZWM-u, dziewczyna znana w kraju z niejednego bohaterskiego czynu dokonanego w walce z hitlerowskim najeźdźcą. Wiesz — powiedziała cicho — odnoszę wrażenie, że to nasi ZMP-owcy przebrali się w błękitne koszule...

Późniejsze liczne zetknięcia z kolegami z FDJ potwierdziły to pierwsze wrażenie, również w stosunku do Policji Ludowej. Nabraliśmy pewności, że jej członkowie nie zawiodą we wspólnej walce o pokój. Ta policja, rekrutowana nieomal wyłącznie spośród młodzieży robotniczej (90 proc. jej składu — to FDJ-owcy), niczym nie przypomina jakiejkolwiek dawnej policji niemieckiej. Wyrobiona politycznie, o dużym poczuciu więzi klasowej, bez cienia drylu pruskiego — co dało się zauważyć m. in. podczas jej przemarszu przed trybunami 28 maja, Volkspolizei zyskała w społeczeństwie niezwykłą popularność. Nie widzi się absolutnie dystansu między robociarzem a umundurowanym policjantem — jest natomiast ogromna serdeczność, bliskość, bardzo żywy i ciągły kontakt. „Ci nigdy nie będą strzelać do robotników — powiedział mi spotkany w Berlinie Edmund Osmańczyk. — Za to właśnie tak ich nienawidzą różni Schumacherowie..."

I młodzież poszła. Młodzież, której Hitler nie zdążył zdemoralizować, młodzież, która umiała się przejąć nie nie znaczącymi dla jej rodziców i starszych braci hasłami pokoju i demokracji, podjęła wysiłek wpajania tych haseł swojemu społeczeństwu, jak najczynniejszego i najpraktyczniejszego wcielenia ich w życie.

Rozmawiałem z grupą młodych FDJ-owców z Frankfurtu nad Odrą. Najstarszy z nich, niewysoki, szczupły blondyn, miał dwadzieścia trzy lata, pozostali nie przekraczali dwudziestu. Wszyscy wykazywali duże wyrobienie

Zlot Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ) w Berlinie. Na zdjęciu fragment demonstracji pokojowej w dniu 28.V. foto AR.

ideowe. — Powiedzcie mi — poprosiłem pod koniec rozmowy — czym się każdy z was zajmuje.

— Jesteśmy nauczycielami — odparli chórem. Okazało się, że mam przed sobą w komplecie ciało pedagogiczne jednej z szkół powszechnych. Najstarszy jest kierownikiem szkoły, pozostali wykładają niemiecki, historię, rosyjski... Ponad 70 procent nauczycieli w Niemczech Wschodnich stanowili do 1945 roku członkowie NSDAP. Wszyscy oni zostali usunięci a na ich miejsce posłano tych właśnie i podobnych im młodzików — po miesięcznym, po sześciotygodniowym przeszkoleniu. — Dajecie sobie radę? — Trudno — przyznali. — Tamci mieli większą wiedzę. Ale oni wychowywaliby dzieci na łotrów. A my — na porządnych obywateli Republiki Demokratycznej.

W tych słowach była duma — słuszna i piękna.

Inny przykład. Burmistrzem Lipska jest 22-letni FDJ-owiec, Manfred Gerlach. Jemu też jest trudno, to nie ulega wątpliwości. Ale przecież daje sobie radę —i Partia (SED) wiedziała co czyni, desygnując go na takie stanowisko.

Partia i Rząd otaczają młodzież niezwykle troskliwą opieką. Przy Prezydium Rady Ministrów istnieje specjalny Urząd do Spraw Młodzieży (Jugendamt) podlegający bezpośrednio wicepremierowi Ulbrichtowi. Urząd ten zajmuje się wszelkimi potrzebami i bolączkami młodzieży, która w żadnych sprawach nie musi się już odwoływać do innych instytucji. Podczas naszego pobytu w Berlinie głośno było o nowej inicjatywie tow. Ulbrichta — o „ustawie młodzieżowej", zapewniającej młodemu pokoleniu szczególne udogodnienia w pracy i nauce.

Zjawiskiem odwrotnym jest stałe nasilenie aktywu partyjnego przez kadrę młodzieżową, czerpanie z tej kadry i obsadzanie nią najwyższych stanowisk państwowych. Przykład burmistrza Lipska jest tu niezwykle charakterystyczny.

Z kogo składa się kadra młodzieżowa? Erich Honecker, przewodniczący FDJ — to dawny członek KC Związku Młodzieży Komunistycznej Niemiec, który od 1933 do 1945 roku tułał się po więzieniach i kacetach hitlerowskiej Rzeszy. Heinz Kessler, jeden z sekretarzy Rady Centralnej FDJ — w 1941 roku zdezerterował z Wehrmachtu i od tej chwili do końca wojny należał do radzieckiego oddziału partyzanckiego. Takich jak Honecker i Kessler ocalało niewielu, są oni jednak w FDJ sztandarowymi postaciami. Sporą część aktywu stanowią chłopcy zmobilizowani do Wehrmachtu w ostatnim roku wojny. Jako jeńcy w ZSRR, nauczyli się patrzeć na świat innymi oczami — i wrócili odmienieni. Wreszcie najwięcej jest tych, którzy w chwili klęski Hitlera byli dziećmi...

Demokracja niemiecka postawiła na młodzież, bo młodzież ma czyste ręce, bo wśród niej nie ma wspólników zbrodni. Zaufanie, które jej okazano, młodzież niemiecka odwzajemniła ogromnym entuzjazmem i ofiarnością. Poznaliśmy tę młodzież — tych działaczy organizacyjnych, nauczycieli, robotników, policjantów ludowych — i uzyskaliśmy przeświadczenie, że można na niej polegać. Młodzież tę bowiem jednoczy dziś wspólna idea z całą postępową młodzieżą świata. Idea wolności i pokoju.

III

W niedzielę wieczór, po manifestacji, wybrałem się z grupą kolegów na przechadzkę wzdłuż granicy sektorów. Od Potsdamerplatz do Bramy Brandenburskiej środkiem ulicy biegnie niewidoczna linia podziału. Po jednej stronie, jak świadczą wielkie napisy w języku niemieckim, znajduje się demokratyczny sektor Berlina. Po drugiej — jak obwieszcza długie angielskie zdanie — sektor angielskiej okupacji. Nie tylko napisy dokumentują odrębność dwóch światów. Niezwykłe wrażenie sprawia kontrast między policjantami po obu stronach granicy. Tu — Volkspolizei, pogodna, młoda, życzliwa. Tam — sztywna postać w szarozielonym mundurze i hełmie, z rewolwerem i pałką u boku... W tej chwili dopiero dopadło mnie ponure okupacyjne wspomnienie, którego niesłusznie się obawiałem w Schönfeld. Stumm-Polizei (gra słów: Stumm — nazwisko komendanta tej policji i stumm — niemy) nie tylko zewnętrznie przypomina hitlerowskich oprawców. W jej skład wchodzą przeważnie dawni esesowcy i żandarmi...

Tak oto w środku Berlina ucieleśniło się dla mnie zagadnienie różnic między demokratycznym Wschodem a neofaszystowskim, kolonialnym Zachodem Niemiec. W miarę pobytu w Berlinie kontrasty się mnożyły. Niektóre z nich warto przytoczyć.

Cztery miliony Niemców, przesiedlonych z Polski i Czechosłowacji, znalazły swoją przyszłość na obszarze między Odrą a Łabą. Dano im pracę, ziemię i prawa obywatelskie. Berlin odbudowuje się powoli — ale na poobszarniczych parcelach w Meklemburgii dymią kominy nowych domów, w których dzieci urodzone pod Wrocławiem i Koszalinem, odrabiając lekcje historii powtarzają sobie, że najstarszą hańbą Niemiec i źródłem minionej wojny były rozbiory Polski. Tymczasem na Zachodzie...

Minister Przesiedleńców „rządu" w Bonn, Dr. Hans Lukaschek, starszy pan o siwej, śpiczastej bródce, podobny na fotografii do kozła, trzyma w palcach grube cygaro. „Co Pan sądzi, Panie Ministrze, o proponowanej przez amerykańską komisję emigracji miliona Niemców za granicę?" „Dobrowolność jest najwyższą zasadą całej mojej pracy. Leżące jednak przede mną spisy osób, które ochotniczo zgłosiły się na wyjazd, wystarczają dla ustalenia każdej kwoty emigracyjnej..."

Na wschodzie zbrodniarze hitlerowscy ponieśli zasłużoną karę. Na zachodzie — dentysta z Mauthausen, Höhler, skazany w 1946 roku na karę śmierci, uniknął wykonania wyroku, a obecnie, po wypuszczeniu z więzienia, wznowił praktykę lekarską. „Die Neue Münchner Illustrierte" publikuje fotografie zwolnionych przestępców z komentarzem: „Nie chcemy rozstrzygać, czy wypuszczono ich za wcześnie czy za późno..."

Inny adenauerowski tygodnik „Quick" zamieszcza w odcinku pamiętnik Ottona Skorzennego, osławionego hitlerowskiego awanturnika. Oto bohater na miarę samego Horsta Wessela, godny, by wzorowała się na nim młodzież Kolonii i Bremy. Widziałem bohatera, na którym wzoruje się młodzież Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Był to niemłody, skromny mężczyzna o nieśmiałym uśmiechu, Adolf Hennecke, najwybitniejszy przodownik pracy w górnictwie NRD! Powitano go hucznymi oklaskami i zaproszono do prezydium Kongresu Młodych Bojowników o Pokój...

Na wystawach księgarń we wschodnim Berlinie widzi się książki Tomasza Manna, Anny Seghers, Ilji Erenburga. Na zachodzie — pamiętniki Krawczenki i pornograficzne pisemko „Casanova".

Berlin amerykański ma wiele prywatnych sklepów o bogatych wystawach. Przeżywają one plajtę za plajtą — brak kupujących. Berlin demokratyczny ma uspołecznione domy towarowe. Ruch jest w nich ogromny, przy czym 80 proc. kupujących stanowią mieszkańcy zachodnich sektorów...

Linia podziału biegnie nie tylko wzdłuż granicy stref i sektorów. W zlocie brało udział dwadzieścia kilka tysięcy młodych dziewczyn i chłopców z Zachodu. Przyszli do Berlina wbrew kordonom, wbrew policji, wbrew czołgom. Przyszli, aby oświadczyć, że Republika Demokratyczna jest ich republiką, Berlin — ich stolicą, Wilhelm Pieck — ich prezydentem. Młodzi dokerzy z Hamburga, którzy nauczyli się już rzucać marshallowską broń do morza, bezrobotni z Westfalii, chłopi spod Hannoveru... Atrakcyjność ideologii Niemieckiej Republiki Demokratycznej wzrasta z każdym dniem dla młodzieży z kraju kolonizowanego przez Mc Cloy'a. Wzrasta — i nie pomoże minister Lukaschek, zwolnieni z więzień zbrodniarze, sklepy z bananami, pornograficzna literatura ani nawet „niemi policjanci"...

IV

W cichym, rozległym parku Treptow wznosi się piękny i niezwykle silny w swej prostocie pomnik żołnierza radzieckiego. Żołnierz — młody mężczyzna o szlachetnych i stanowczych rysach — w prawej dłoni ma obnażony miecz, lewą tuli do siebie i osłania małe dziecko. U stóp żołnierza — zdruzgotana swastyka.

Przed tym pomnikiem w dniu otwarcia Kongresu delegacje składały wieńce. Mowy były krótkie. Kierownik delegacji Komsomołu, Koczemasow, powiedział tylko jedno zdanie: „Wieczna chwała bohaterom, którzy padli w walce o wolność, przeciwko faszyzmowi..." Orkiestra policji ludowej grała hymny. Kiedy umilkła po „Międzynarodówce", słychać było szelest wiatru wśród liści.

Patrzałem w poważne twarze obecnych FDJ-owców i młodszych od nich Pionierów. Wielu z nich straciło zapewne w minionej wojnie ojców i braci. Ale nie im oddawali tu hołd. Ojcowie i bracia bronili faszyzmu. Armia Czerwona zdruzgotała faszyzm. „Wieczna chwała bohaterom..."

Świadomość ogromnej historycznej zasługi Krainy Rad i jej Armii jest dziś wśród młodzieży Niemiec Wschodnich powszechna. 9 maja — dzień klęski Hitlera — obchodzony jest w Niemieckiej Republice Demokratycznej jako święto narodowe, Święto Wyzwolenia. Wiele goryczy musiało być w sercach tych, którzy w roku 1945 zaczęli rozumieć, że ojcowie zginęli za niedobrą sprawę. Dziś tej goryczy już się nie dostrzega. Dla większości społeczeństwa znak równania między klęską Hitlera a wyzwoleniem Niemiec jest oczywisty. Uczucie, z którym młodzi Niemcy składają wieńce przed pomnikiem żołnierzy radzieckich, jest szczere i głębokie.

Związek Radziecki nie tylko wyzwolił Niemcy od Hitlera. Wszystkie swoje dotychczasowe osiągnięcia, wszystkie nadzieje na przyszłość wiąże Niemiecka Republika Demokratyczna ze Związkiem Radzieckim. Gdyby nie mądra i ludzka polityka radzieckich władz okupacyjnych po kapitulacji faszystów, nie oglądalibyśmy dziś tych przemian w psychice niemieckiej, jakie oglądamy. Gdyby nie realna pomoc ZSRR —

Harcerze polscy na zlocie FDJ w Berlinie.

Niemcy Wschodnie byłyby po dzień dzisiejszy wypaloną pustynią. Ojczyzna socjalizmu przysłała tu swoich fachowców, aby pomogli Niemcom w odbudowie. Nie tylko w odbudowie materialnej. Autorzy radzieccy pisali studia o historii i ekonomice Niemiec — były to studia tak wnikliwe i imponujące erudycją, jakich w Niemczech nie znano. Radzieccy komendanci miast opiekowali się szkołami i teatrami. W jakże prawdziwym filmie „Spotkanie nad Łabą" jest scena, gdy niemiecki chłopiec od oficera Armii Czerwonej po raz pierwszy słyszy nazwisko Heinego. Tak właśnie było, kiedy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna, Związek Radziecki konsekwentnie udzielił jej poparcia moralnego i faktycznego, przekazując administracji miejscowej szereg uprawnień władz okupacyjnych.

Czy młodzież niemiecka zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę? Trzeba było widzieć owacje, jakie na Kongresie urządzono Erenburgowi czy Mieresjewowi, trzeba było słyszeć, z jakim zapałem dziesięć tysięcy FDJ-owców śpiewa „Sziraka strana maja radnaja" lub skanduje „Es lebe Stalin". Mimo woli cofałem się myślą wstecz, do ciężkich lat wojny: czy wtedy można było przewidzieć taki obraz? Tak, był człowiek, który to przewidział, który w roku 1942 wyrzekł słowa: „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki, ale państwo niemieckie zostaje". Stalin pomógł Niemcom stworzyć demokratyczną republikę, Stalin sprawił, że młodzież tej republiki jest taka, jaką ją dziś widzimy.

Obok wdzięczności i serdeczności wobec Związku Radzieckiego, najsilniej bodaj akcentowano podczas berlińskiego Zlotu gorące uznanie dla Polski Ludowej i chęć przyjaźni z narodem polskim. Znajdowano tysiące form, aby tę przyjaźń podkreślić. W niedzielnym pochodzie niesiono dziesiątki, jeżeli nie setki portretów towarzysza Bieruta, mnóstwo emblematów ZMP i biało-czerwonych chorągiewek. Hasło „Odra i Nysa — granicą pokoju" powtarzało się wielokrotnie. Wszelkie wystąpienia naszej delegacji natychmiast przeradzały się w długie i burzliwe manifestacje przyjaźni. Kiedy na Kongresie wręczyliśmy kierownictwu FDJ sztandar ZMP, cała sala wstała i zaczęło się coś niezwykłego, coś czego nie podobna opisać. Od tych pieśni, od tych oklasków okrzyków kołysały się ściany ogrom-

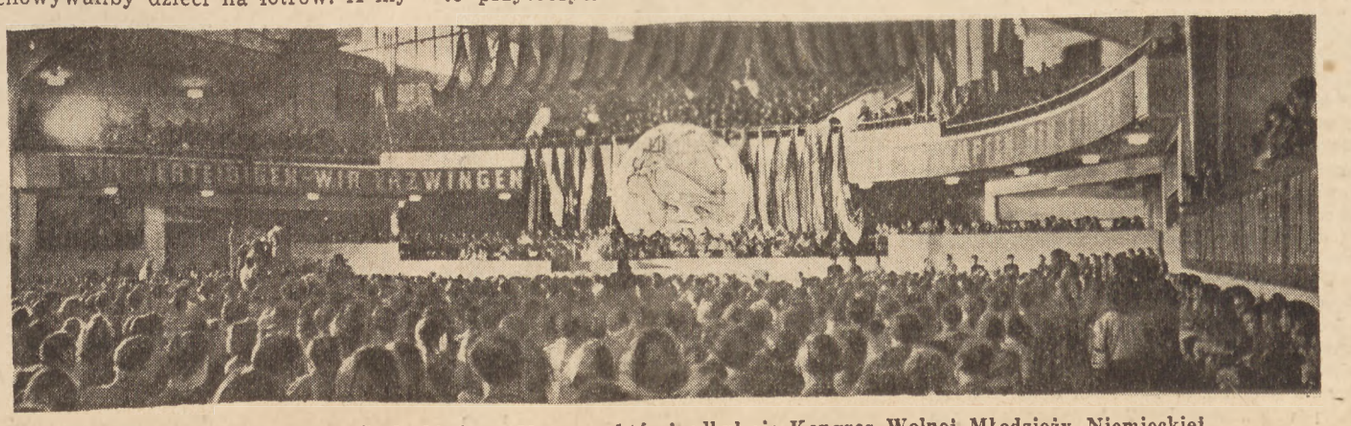

Ogólny widok Werner - Seelenbinder - Halle, w której odbył się Kongres Wolnej Młodzieży Niemieckiej.

ŚMIERĆ KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO

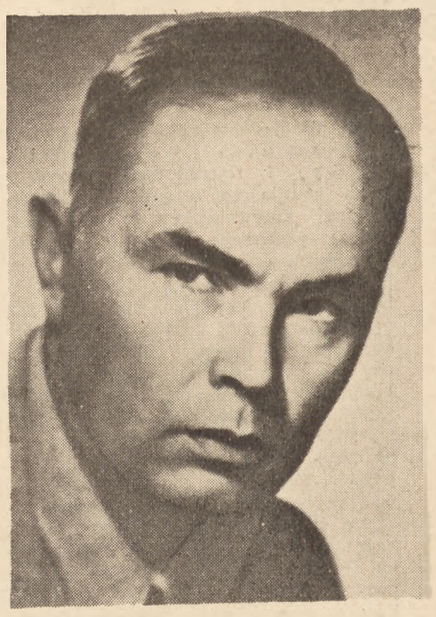

W ostatniej chwili przed oddaniem numeru do druku otrzymaliśmy żałobną wiadomość o tragicznej śmierci znakomitego pisarza, posła R. P. w Hadze, Ksawerego Pruszyńskiego, który zginął w katastrofie samochodowej w Zachodnich Niemczech.

W osobie Ksawerego Pruszyńskiego literatura polska traci jednego z czołowych przedstawicieli, wybitnego prozaika i eseistę, którego cała pisarska działalność była drogą ku Polsce Ludowej i szlachetną walką o artystyczny wyraz przemian zachodzących w kroczącej tą drogą inteligencji polskiej.

Obszerniejszy artykuł poświęcony osobie autora „W czerwonej Hiszpanii" zamieścimy w następnym numerze „Nowej Kultury".

nej hali sportowej — zdawało się, że runą...

Transparenty i publiczne manifestacje nie o wszystkim mogą świadczyć. Doszły do nich jednak dziesiątki prywatnych rozmów z przygodnie poznanymi młodymi Niemcami — ot, chociażby ta z dwudziestoletnim chłopakiem wysiedlonym przed pięciu laty z Warmii. Było to w poniedziałkowy wieczór, zakończenie Zlotu. Na Unter den Linden w mroku kołysały się niezliczone pochodnie. Właśnie skończył przemawiać Mieresjew i teraz dziesiątki tysięcy gardeł skandowały „Freund-schaft". Georg, nachylony do mego ucha, gorącym szeptem tłumaczył mi, jak bardzo słuszne i sprawiedliwe są granice na Odrze i Nysie, i jeszcze — jaki on jest szczęśliwy, że Polacy przyjechali na Zlot.

Na konferencji prasowej u Gerharda Eislera przewodniczący ZMP Władysław Matwin mówił, że wracamy do kraju z przekonaniem, iż granica Odry i Nysy broniona jest z obu stron: ze wschodu — przez naród polski, z zachodu — przez wszystkie postępowe siły narodu niemieckiego. Każde słowo tego oświadczenia było dobrze przemyślane i odważone...

V

„Znowu maszerują" — obwieścił Głos Ameryki. A na wspomnianej już konferencji prasowej u Eislera pewien zażywny i czerwony na twarzy dziennikarz z Norwestdeutschen Rundfunk uparcie usiłował skłonić delegacje krajów ludowo-demokratycznych, aby przyznały, że młodzież niemiecka „maszeruje i odradza w ten sposób totalizm".

Z uśmiechem słuchaliśmy tych nieudolnych prób prowokacji. Panu z Nordwestdeutscher Rundfunk dobitnie odpowiedział inny zachodnio - niemiecki dziennikarz, reprezentujący prasę demokratyczną: „Nie o to chodzi, że maszerują, ale o to, w imię czego maszerują".

Istotnie, nie pozycja jest ważna. Prowokatorzy ze sprzedajnej prasy imperialistycznej siedzieli na sali konferencyjnej dość spokojnie, a przecież ani na chwilę nie przestali w miarę swych skromnych możliwości zagrażać pokojowi. Siedemset tysięcy młodych Niemców, maszerując przez Berlin, broniło pokoju.

Widzieliśmy ich, jak — godzina za godziną — szli przez Berlin, ze swoimi nowymi pieśniami, w których najczęściej powtarza się słowo „budujemy", z portretami przodowników pracy, ze sztandarami i transparentami. Na transparentach czytaliśmy ich hasła poświęcone obronie pokoju, walce z podżegaczami wojennymi. „Obronimy — narzucimy — wywalczymy pokój" — to hasło górowało nad innymi. W różnych grupach powstawały fraszki, rymowane slogany, podchwytywane natychmiast przez cały pochód. Niespodziewanie dżdżysta pogoda zrodziła dwuwiersz:

„Ob Regen oder Sonnenschein —
wir treten für den Frieden ein."

(„Czy to deszcz czy słońce — walczymy o pokój").

Pod koniec manifestacji szeregi zaczęła obiegać inna fraszka:

„Deutschlandtreffen ist geglückt —
Adenauer wird verrückt."

(„Zlot się udał — Adenauer zwariuje").

Szli, nie czując zmęczenia, o piątej po południu tak samo pełni entuzjazmu i zapału, jak o ósmej rano. Oto górnicy z Saksonii, oto berlińscy robociarze, oto dziewczęta wiejskie z Turyngii... Niektórzy młodzi chłopcy kuśtykali na kulach, wymachiwali pustymi rękawami, toczyli się na wózkach inwalidzkich... A oto młodzież z Niemiec Zachodnich: Lubeka, Essen, nawet Bonn jest tu reprezentowane. „Nigdy więcej nie będziemy żołdakami imperialistów"; „Amerykanie, idźcie do domu — i zabierzcie Adenauera ze sobą".

To nie są tylko transparenty i deklaracje. Oto kolumna młodzieży z czerwonymi winklami na piersiach. Jest wśród nich nawet dziesięcioletni chłopiec. Ci poznali już zachodnie więzienia — za propagandę pokojową, za rozlepianie plakatów z gołębiem Picassa... Wypuszczeni, nie zaprzestali walki. Przybyli tu, do Berlina, choć wiedzą, że po powrocie na Zachód czekają ich nowe szykany, usuwanie z pracy, pałki policjantów, obozy...

Jak bardzo nie mają racji ci, którzy nie wierzą w wynik dziejowych doświadczeń, w zdolność narodów do wyciągania wniosków. Przekonaliśmy się, że w narodzie niemieckim, w młodzieży niemieckiej są siły, które zrozumiały doświadczenia lat minionych, które wyciągnęły wnioski — w sposób jak najbardziej czynny. Starsi bracia tej młodzieży — nawet o nastawieniu antyhitlerowskim i antywojennym — niezdolni byli do sprzeciwu, do oporu. Ta młodzież, która teraz poznaliśmy w Berlinie, udowodniła, że nie tylko jest zdolna do oporu — ale że jest zdecydowana walczyć o pokój wbrew wszelkim przeszkodom.

Zdając sobie sprawę z tego, co znaczy taka decyzja niemieckiej młodzieży, trudno przecenić wagę berlińskiego Zlotu dla międzynarodowego frontu walki o pokój. W znanej depeszy do Prezydenta Piecka i Premiera Grotewohla pisał Generalissimus Stalin: „Nie ulega wątpliwości, że istnienie Niemiec demokratycznych — pokój miłujących, obok istnienia miłującego pokój Związku Radzieckiego — wyklucza możliwość nowych wojen w Europie, kładzie kres przelewowi krwi w Europie i uniemożliwia ujarzmienie krajów europejskich przez imperialistów świata".

Takie Niemcy — demokratyczne i miłujące pokój — istnieją już między Odrą a Łabą. Berliński Zlot dowiódł, że ich wpływ sięga daleko poza Łabę. Stał się jednocześnie dalszym krokiem na drodze do zjednoczenia całych Niemiec pod sztandarem demokracji i pokoju. Plany podżegaczy wojennych zostaną udaremnione.

Wiktor Woroszylski

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

FRANCUSKA WALKA

Jeśli by się chciało jednym zdaniem ująć zmiany jakie zaszły we francuskiej literaturze burżuazyjnej w stosunku do jej stanu (ideologicznego i formalnego) sprzed wojny, zdanie to wyglądałoby może tak: wczoraj doszukiwała się ona bezsensu, dzisiaj poszukuje sensu dla znalezionego wówczas bezsensu. Chociaż ocena taka zakrawać może na kpiny, ale wojna istotnie nie szarpnęła do głębi sumienia całej francuskiej literatury, nie przeorała świadomości pisarzy. Okazała się, ciężko napisać, niedostateczną próbą wartości. I aż dziwnie pomyśleć, ale jedynymi wyrzutami sumienia jakie tam wzbudziła, są wyrzuty sumienia... kartezjańskiego w najbardziej powierzchownym znaczeniu tego pojęcia. Znaczy to, że przewodnicy duchowi francuskiej burżuazji uznając w dalszym ciągu irracjonalistyczny pogląd na świat, usiłują wypływające zeń i uznawane przez nich konsekwencje, a więc koszmar, absurd, bezsens świata i ludzkiego losu ułożyć dzisiaj w jakiś system. Nie usiłują doszukiwać się istotnych praw rządzących światem i człowiekiem, nie usiłują sprawdzić i porównać z rzeczywistością swoich sądów o rzeczywistości. Nie obchodzi ich błędność twierdzeń, wystarcza im najzupełniej to tylko, że sylogizmy będą prawidłowo zbudowane. Oto cały ich kartezjanizm.

Uwidacznia się to nie tylko w teoriach, w wyznaniach wiary szkół artystycznych i literackich prądach. Te można by jeszcze położyć na karb działających od przed wojny formalistycznych trybów. Występuje to z całą posępną tromtadracją w bezpośrednich sądach francuskiej literatury burżuazyjnej o wojnie, jako „próbie losu", „tym czasie pogardy", „epoce zbrodniarzy" etc. Wydana niemal nazajutrz po wyzwoleniu (w 1946 r.) książka Dawida Rousseta „L'Univers Concentrationnaire" („Świat koncentracyjny") miała być bezpośrednią moralną oceną „świata nieludzkiego" przez człowieka, który sam był w jego trybach. Można było oczekiwać już nie tylko próby wyjścia, ale rzetelnego i ostatecznego wyjścia z kredowego koła irracjonalizmu. Tymczasem otrzymujemy system autonomicznej logiki koszmaru. Rousset dostrzegł w koncentracyjnym świecie to, że rządzą nim takie same prawa jak w państwie króla Ubu. Nie darmo za motto do swojej książki wybrał cytat z Alfreda Jarry. Nie tylko ten cytat zresztą. Także takie zdanie: „Istnieje rozkaz Goeringa o ochronie żab". Sumienie burżuazji oszczędza siebie wyraźnie. Ukazuje faszyzm ale jedynie jako zboczenie ludzkiej psychiki, jako niewytłumaczalne zło, tragicznie śmieszny koszmar, nieludzki absurd. Unika logiki faktów, bo logika ta zaprowadziłaby do tych źródeł faszyzmu, które burżuazja pragnie przemilczeć. Sumienie burżuazji nawet ofiarze faszyzmu każe ukryć tę logikę, która by ujawniła odpowiedzialność jego klasy za koncentracyjny świat. I dzieje się, że solidaryzm klasowy niszczy zdrowy rozsądek człowieka, niszczy uczciwość pisarza, który — tym gorzej jeśli sobie nawet sprawy z tego nie zdaje — zadawala się zbudowaniem nieobowiązującego systemu koszmaru. System jest niby logiczny, niby powiązany, lecz wypełnia go treść irracjonalna, treść usprawiedliwianego koszmaru. Najdziwniejsza, możliwa jedynie w burżuazyjnym świecie krzyżówka Alfreda Jarry z Kartezjuszem.

Dla francuskiej myśli burżuazyjnej wojna nie była nauką, nie przeobraziła kalekiej, neurastenicznej świadomości. Była zaledwie przygodą, jeszcze jedną podróżą do kresu jeszcze jednej nocy. A jako że podróże kształcą, więc i ta była lekcją. Lekcją logiczności. Bo nawet nie logiki. Rzeczywistość koszmarna nauczyła intelektualistów burżuazyjnych zaledwie systematycznego myślenia o koszmarze.

Takie pojęcia międzywojennego dwudziestolecia jak los, absurdalność świata i bezinteresowność ludzkich czynów w zastosowaniu do człowieka zachowały i dzisiaj moc wiążącą burżuazyjnych myślicieli i pisarzy. Zmieniły się jedynie metody służące rzekomo do ich poznawania. W okresie międzywojennego dwudziestolecia drążono te pojęcia we wszystkich kierunkach, z poczuciem całkowitej nieodpowiedzialności, gdyż pojęcia te już z samego założenia były pozbawione dna. Amoralizm Gide'a i Céline'a, fideistyczny irracjonalizm Mauriaca i ateistyczny irracjonalizm nadrealistów — oto przykłady. Dzisiaj wstawia się do nich dna sztuczne, aby stworzyć pozory intelektualnej rzetelności. U Sartre'a np. takim dnem jest wolność i prawo wyboru przez człowieka własnego losu. Dno sztuczne, gdyż wolność egzystencjalistyczna to wolność pozorna, ograniczająca się jedynie do aprobaty narzuconego świata i jego norm. Zmieniły się także środki wyrażania. W okresie międzywojennego dwudziestolecia literatura francuska — irracjonalny świat i zagubionego w nim człowieka poznawała metodą intuicyjną, lub behaviorystyczną a wyrażała stylem skojarzeniowym. Dziś panuje naturalizm i jego stylistyczne konsekwencje. Co wynikło z poszukiwań dwudziestolecia, wiemy. Znaleziono to, czego szukano: bezsensowny świat, dający człowiekowi absolutne prawo do amoralizmu i nieodpowiedzialności. I to było całe duchowe uzbrojenie w jakie burżuazja wyposażyła francuskie społeczeństwo na wojnę z faszyzmem. A co wynika z systematów dzisiejszych? Świat się nie zmienił. Nadal nie ma sensu. A w bezsensownym świecie już samo życie ludzkie jest aktem bohaterstwa. Im większa świadomość bezsensu, im większa rozpacz więc, tym wyższy stopień bohaterstwa. Rozpacz staje się najwyższą kategorią ludzkich wartości. Et voilà!

*

Przyjęło się uogólnienie, że francuska literatura wyszła z tej wojny odnowiona. Jest to uogólnienie fałszywie za obszerne. Nie obejmuje ono bowiem francuskiej literatury burżuazyjnej. Rozbrojony przez swoich duchowych opiekunów naród francuski prowadził samotnie wyzwoleńczą walkę z faszyzmem. Byli z nim najwrażliwsi, ci, którzy nie musieli od wojny, od logiki koncentracyjnego świata uczyć się kartezjanizmu. Byli z nimi pisarze, poeci i myśliciele, którzy już w okresie międzywojennego dwudziestolecia posiedli właściwą świadomość spraw ludzkich. Aragon, Décour, Politzer, żeby wymienić imiona — symbole. Byli z nimi ci, którzy walcząc w podziemnych szeregach ramię przy ramieniu z robotnikiem pojęli cały sens tej walki. Desnos, Eluard, Langevin, Joliot-Curie... Literatura burżuazyjna natomiast... nie chcę powiedzieć, że w szeregach Ruchu Oporu nie było burżuazyjnych pisarzy. Byli. Był Mauriac, był Paulhan, był Mounier... lecz nawet do będących w podziemnych szeregach nie docierał sens walki. Jakżeż często brali w niej udział z całkowitą bezmyślnością. Bo spełnienie obywatelskiego obowiązku Francuza nie oznacza automatycznie spełnienia obowiązku francuskiego pisarza. David Rousset był także członkiem Ruchu Oporu, a wyniósł zeń co? Nic nie wyjaśniający, a wszystko gmatwający, nie tylko niepotrzebny, ale wręcz szkodliwy, bo zacierający logicznością insynuacji logikę faktów — system koszmaru.

Bezpośrednio po wyzwoleniu, a i dziś się to zdarza, że wielu francuskich pisarzy burżuazyjnych powołuje się na swój udział w podziemnym Ruchu Oporu. A trzeba wiedzieć, że tytuł do tej przynależności może mieć każdy literat, który w latach wojny bojkotował hitlerowską prasę i hitlerowskie wydawnictwa. Jest to tzw. bierny udział, lecz także wysoko honorowany. Czynny — polega na współpracy w wydawnictwach niepodległych, niekoniecznie jednak podziemnych. Nie ważna jest treść i rodzaj publikacji. Mógł to być essay o absurdzie (jak np. „Mit Syzyfa" Camusa). André Gide np. który w II połowie 1940 r. opublikował kilka stron swojego dziennika kokietujących hitleryzm, miałby również prawo uchodzić nie tylko za partyzanta, ale nawet za ofiarę faszyzmu, ze względu na zakazanie mu przez policję Vichy wygłoszenia odczytu (Nie ze względu na treść odczytu, który nie miał nic wspólnego z najszerzej pojętą opozycją w stosunku do petainowskiego reżimu. Zakazano mu odczytu o poecie Michaux po prostu ze względu na obyczaje i życie prywatne Gide'a). Francuscy pisarze burżuazyjni dzielą się jedynie na dwie grupy: kollaboracjonistów i członków Ruchu Oporu. Trzeci przedział nie istnieje. Jak fakty dowiodły jest to podział czysto formalny i nie obowiązujący, gdy w grę wchodzą interesy burżuazji. Członek Ruchu Oporu François Mauriac sprzymierzył się po wyzwoleniu przeciwko ideom odrodzenia zrazu z petainowcami „w rękawiczkach" w rodzaju Maurois i Romainsa, potem ze zwykłymi kanaliami w rodzaju autorów prohitlerowskich panegiryków Jouhandeau i Guehenno, by wreszcie publikować w swoim piśmie („Figaro") pamiętniki hitlerowskiego zbrodniarza esesmana Skorzennego. Udział pisarzy burżuazyjnych w Ruchu Oporu był więc przynajmniej... nieobowiązujący.

Ale nie o to chodzi. Nie o legitymację patriotyzmu tego lub innego duchowego przewodnika francuskiej burżuazji. Chodzi o sprawę zasadniczą: literatura burżuazyjna, która rozbroiła francuskie społeczeństwo, wychowując je na fałszywych wzorach myśli, nie tylko nie usiłowała uczynić nic w obronie jego życia, ale nawet jego śmierci odbierała sens i znaczenie.

Literatura burżuazyjna już w czasie okupacji, w czasie kiedy każda odrobina nadziei miała wartość bezcenną, układała nonsens świata i absurd ludzkiego życia w system, który miał obowiązywać nazajutrz po wyzwoleniu, jakgdyby się obawiała, że miejsce jej zajmie zdrowy rozsądek. Dwie daty są wymowne: W 1942 r. ukazuje się powieść „Cudzoziemiec" i traktat moralny „Mit Syzyfa" Alberta Camusa. W 1943 r. — zasady filozofii egzystencjalistycznej Sartre'a „L'être et le

Spod znaku zachodu

Stuttgarckie zabawy

Mimo, że o zbrodniczej parodii tzw. sądów denazyfikacyjnych w Niemczech Zachodnich napisano już tomy, obraz świata między Łabą i Renem nie byłby całkowity bez sprawozdania z afery stuttgarckiej, która — zdaniem najbardziej nawet cynicznych obserwatorów — jest historią, jakiej równych niewiele.

Znanymi z imienia bohaterami afery są: Rheinhold Maier, prezydent prowincji Wuerttemberg - Baden, August Meyer, szara eminencja owej, żyjącej w cieniu łask Waszyngtonu prowincji zachodnich Niemiec, Hans May, były prokurator sądu denazyfikacyjnego w Stuttgarcie, i Richard Kessler, do niedawna członek kompletu sędziowskiego owego sądu. W epilogu afery stuttgarckiej występuje także filar sprawiedliwości Wuerttemberg - Baden, prokurator Johannes Desczyk. W roli statystów występuje kilkanaście tysięcy działaczy NSDAP z czasów wojny.

Wszystko zaczęło się od tego, że pewien mieszkaniec Stuttgartu, którego nazwisko nie jest tu istotne, figurujący w archiwach sądu denazyfikacyjnego tego miasta jako numer 952, wygadał się po pijanemu. Na jakimś publicznym przyjęciu po kilku kieliszkach koniaku czy goldwasseru oświadczył, że brak mu chwilowo gotówki z powodu transakcji z prezydentem Maierem. Transankcja, jak się okazało wkrótce polegała na wykupieniu się numeru 952 z wyroku denazyfikacyjnego. Jeśli wziąć pod uwagę pozycję nr 952 w partii hitlerowskiej w czasach Trzeciej Rzeszy, wyrok nie był specjalnie uciążliwy, ale w myśl zasady, że „czas to pieniądz", nr 952 zdecydował się na wydanie 20 tysięcy marek w zamian za całkowite oczyszczenie jego wojennej hipoteki.

Historia numeru 952 obiegła całe miasto. Wówczas okazało się, że gadatliwy gentleman — cnotliwy przemysłowiec w nowym, powojennym wcieleniu, nie był wcale przypadkiem wyjątkowym. Prezydent Maier, naśladując amerykański rozmach swych opiekunów, pracował hurtowo. Pobieżne badania wykazały, że od września do grudnia 1949 podpisał 19 tysięcy kasacji wyroków sądów denazyfikacyjnych, co czyni około 125 dziennie. W połowie były to kasacje całkowite, w połowie wymieniano wyroki na grzywny według stawki bodajże — 50 marek za miesiąc więzienia. Dzięki prywatnej sumienności prezydenta i sztabu jego współpracowników, którą porównać można tylko do sumienności SS-manów-buchalterów z obozów koncentracyjnych, zachowały się w postaci czeków bądź kwitów dowody łapownictwa w 983 wypadkach. Wykaz klientów prezydenta Maiera — stwierdził ktoś, kto go poufnie oglądał — sprawia wrażenie gotajskiego almanachu szlachty hitlerowskiej południowo-zachodnich Niemiec.

Dzięki dalszym niedyskrecjom skandal stuttgarcki przybrał takie rozmiary, że niesposób było go zatuszować. „Oficjalne śledztwo" trwało cztery miesiące. Prezydent wykpił się łatwo. Kiedy prasa komunistyczna zachodnich Niemiec zaczęła domagać się aresztowania prezydenta, ten powołał się na swą poselską nietykalność. „Parlament krajowy" Wuerttemberg-Baden murem stanął za Maierem, (ponieważ lista klientów prezydenta nie została nigdy opublikowana, nie wiadomo ilu członków „parlamentu" znajdowało się na niej). Trzej wspólnicy stanęli jednak przed sądem. Sprawę powierzono Johannesowi Desczykowi, prokuratorowi sądu specjalnego w Stuttgarcie.

Proces Augusta Meyera, b. prokuratora Maya i b. sędziego Kesslera rozpoczął się w końcu kwietnia. Od chwili wejścia oskarżonych na salę wśród prasy i publiczności zakwitł hazard zakładów. Zakładano się trzy do jednego, że „z braku dowodów" zostaną uniewinnieni. W trzecim dniu procesu zakłady wzrosły do pięciu do jednego. W piątym dniu nie było już na sali nikogo, kto by zaryzykował pół marki na wyrok skazujący. Tego samego dnia jeden z reporterów tak rozpoczął sprawozdanie dla swego dziennika: „Głośny od czterech miesięcy skandal denazyfikacyjny prowincji Wuerttemberg-Baden kona powoli prawną śmiercią w oczach sali. Prokurator wykazuje trudny do uwierzenia brak zainteresowania dla losów sprawy..." Sprawozdawca notował dalej: „W ciągu całego piątego dnia procesu prokurator Johannes Desczyk nie uznał za wskazane zadać choćby jednego pytania głównemu świadkowi oskarżenia, który przyznał się swego czasu publicznie do wpłacenia łapówki oskarżonym w zamian za kasację jego wyroku denazyfikacyjnego. Obrona za milczącą zgodą prokuratora zaczęła atakować ostro świadków oskarżenia i policję, twierdząc, że nieprzychylne dla oskarżonych zeznania wymuszone zostały siłą przez policję...". W szóstym dniu procesu reporter notował: „Jeden z głównych świadków oskarżenia właściciel wielkich zakładów garbarskich pod Stuttgartem, Karl Kaeff, który w śledztwie przyznał się do wpłacenia łapówki w wysokości 12 tysięcy marek za kasację wyroku sądu denazyfikacyjnego, nie zgłosił się na rozprawę. Okazuje się, że dwa dni temu prokurator Desczyk wydał mu zezwolenie na podróż lotniczą w celach handlowych do Argentyny...". W ósmym dniu procesu ktoś zbytnio ciekawy zaczął zagłębiać się w przeszłość prokuratora Desczyka. Wtedy jego brak zainteresowania dla przebiegu procesu znalazł usprawiedliwienie. Herr Desczyk był także swego czasu wysokim funkcjonariuszem NSDAP. W czasie wojny sprawował urząd prokuratora Volksgerichtu dla spraw antyfaszystowskich w Weimarze. Schroniwszy się na Zachodzie, „zapomniał" po prostu zawiadomić władze o swej przeszłości i od pięciu lat jest jednym z prokuratorów prowincji Wuerttemberg-Baden.

„Proces" wspólników prezydenta prowincji Maiera zakończył się 10 maja. Wbrew oczekiwaniom dwaj oskarżeni zostali skazani. Były prokurator May otrzymał rok więzienia, eminencja Meyer — 8 (osiem) miesięcy. Sędzia Kessler został całkowicie uniewinniony. May i Meyer zgłosili apelacje. Decyzją sądu za zgodą prokuratora Desczyka, któremu ujawnienie jego przeszłości nie przeszkodziło w kontynuowaniu procesu, skazani odpowiadać będą nadal z wolnej stopy. Natychmiast po wyroku trzej przyjaciele prezydenta prowincji udali się w towarzystwie obrony na uroczysty obiad w największej knajpie Stuttgartu. Ponieważ była to impreza prywatna, powzięte na przyjęciu decyzje są tajemnicą. Nie wydaje się, aby trudno było je odgadnąć. Panowie May i Meyer postanowili prawdopodobnie wysłać „uwolnionego od winy i kary" sędziego Kesslera w delegacji do prezydenta z zadaniem szybkiego załatwienia apelacji. Nie ulega wątpliwości, że z racji wzajemnych więzów apelacja zostanie załatwiona po myśli skazanych — bezpłatnie. Gangsterzy bywają lojalni wobec siebie.

Tzw. opinia Stuttgartu uważa skandal stuttgarcki za definitywnie zakończony. Któż by się babrał dalej takimi detalami, kiedy amerykańscy opiekuni wzywają do mobilizacji wszystkich sił do obrony cywilizacji zachodniej przeciw czerwonemu niebezpieczeństwu. Mają jej bronić zarówno President Rheinhold Maier, jak die Herren, May, Meyer i Kessler. Nie zabraknie w szeregach obrońców zachodniej cywilizacji także stacjonowanego obecnie w Stuttgarcie „permanentnego prokuratora" Johannesa Desczyka z wojennego Volksgerichtu w Weimarze.

EGO

ANNA KAMIEŃSKA

WIER

ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA W WARSZAWIE 1950

W krajobrazie ojczyzny szerokim
trwa schylone ponad księgą czoło,
to chłop stary grubym palcem orze
zagon druku wolnym dążąc krokiem
za poety myślą, który w szkole
jest obecny jak w muszelce morze.

W krajobrazie ojczyzny rozległym
żona jego z pomarszczonej dłoni
modlitewnik upuszcza, by oko
ku żarówce głośnika pobiegło,
która zwolna rozżarza się, dzwoni,
śpiewa, gwiazda poezji wysoko.

W krajobrazie ojczyzny jest posąg —
nie pod zorzą — lecz pod ludzkim niebiem.
Piękno bowiem jest u powiek
tylko ludzkich i u skroni,
i u serca, co się karmi wodą, chlebem,
i u serca, co cierpi, więc — człowiek...

W krajobrazie ojczyzny ogromnym
jest komórka, w której uczeń biedny
mieszka. W parze oddechu odmarza,
księga — chleb. To czuły, daleki potomny
pod pomnikiem wieszcza tkwi bezwiedny,
dziecko natchnień i elementarza.

STANISŁAWOWI WYGODZKIEMU — POECIE

Szczęśliwy człowiek, którego nieszczęście
jest na miarę dziejów, którego wzrok znaczy
i pochylenie pleców więcej niż krzyk walki,
uśmiech godniejszy niż grymas rozpaczy.

W jego uśmiechu jest potęga życia,
że mimo wszystko uśmiechać się umie —
i mieć idee większe nad cierpienie
i cele większe niż pamięć o trumnie.

Mądrość mu liczy miary w dni dojrzałe,
by mówił prosto jak dziecko, jak starzec
o śmierci własnej, która nic nie boli,
gdy przęty ciche życia pozostają

O LITERATURĘ

Néant". Książki te były już dostatecznie szeroko omówione u nas i nie muszę ich prezentować. Dość powiedzieć, że Camus w 1942 r. przedstawia świat jako absurdalny układ pozbawionych sensu zjawisk, a życie ludzkie jako niezależny od woli człowieka przypadek. Sensem, który ukazuje, ma być świadomość bezsensu. Sartre znów (1943) konkretne sprawy wolności i odpowiedzialności umieszcza w kategoriach wyłącznie metafizycznych, subiektywizuje i izoluje człowieka od zbiorowości i na rozpacz, a więc uczucie osamotnienia wobec absurdalności świata, wskazuje jako na źródło poznania sensu ludzkiego losu. Podkreślam czas ułożenia tych systemów. Dalszy rozwój burżuazyjnej myśli układa się po dzień dzisiejszy w podobnie „kartezjańskie" ramy.

Wojna dała literaturze burżuazyjnej lekcję logiczności. I lekcję stylistyki także. Odrzucono skojarzeniowość i automatyzm pisarskiej techniki. Literatura powstająca współcześnie ma wszystkie pozory czytelności, używa składni prostej, stawia przecinki i kropki. Jest usystematyzowana. Pseudonimuje intelektualizm i moralizm. Jest fałszywa w sposób bardziej niż przedwojenne niebezpieczny. Truje łatwo, przystępnie i gruntownie.

*

Jeśli obraz francuskiej literatury burżuazyjnej uległ niewielkim stosunkowo zmianom w porównaniu z jej stanem przedwojennym, to nie można tego samego powiedzieć o zasięgu jej wpływów na francuskie społeczeństwo. Wojna z faszyzmem chociaż nie przeobraziła literatów, przeobraziła społeczeństwo. Od rzeczywistości niewiele nauczyli się pisarze burżuazyjni, nauczyli się natomiast wiele ich czytelnicy. Przeciętny czytelnik francuski własnym doświadczeniem zdobył tę prawdę o koncentracyjnym świecie, którą ukrywa przed nim burżuazyjny pisarz. Wie jakie prawa tym światem rządzą i kto ponosi zań odpowiedzialność. Lud, który własnymi rękami wyrywał wolność z faszystowskiej przemocy, nie da sobie wmówić, że światem i jego losem rządzą absurdalne przypadki. To jest jeden powód braku zaufania do „kartezjańskich" systemów bezsensu. Jest ich więcej.

Na jaw wyszła prawda o rzekomym zróżnicowaniu formalnym (miało być ono w swoim czasie dowodem żywotności i bogactwa) francuskiej literatury burżuazyjnej w latach przedwojennych. Te wszystkie a-izmy dwudziestolecia były po prostu dywersją, zmierzającą do skompromitowania, ośmieszenia i zdeprecjonowania idei postępu. Literatura burżuazyjna tego czasu pseudorewolucjonizowała francuskie społeczeństwo, aby zagłuszyć prawdziwie rewolucyjne hasła. Profilaktycznie zaszczepiała drobnomieszczaństwu niechęć i nienawiść do własnego środowiska, ażeby je uniewrażliwić na rewolucyjne dążenia. Stworzono sto antymieszczańskich snobizmów. Przeciwko rewolucji politycznej prowadzono permanentną rewolucję moralną, obyczajową i estetyczną. Oto np. na ołtarze wyniesiono seksualne zboczenia, narkomanię etc., aby zmylić kierunek antymieszczańskiej krytyki. Drobnomieszczaństwo, ogłupiałe własnym kosztem, utrzymywało przy życiu tę drwinę z siebie samego. Nie brak i wesołości w tym posępnym obrazie. Powstała moda na pseudorewolucyjną głupotę. Mieszczuch dla wywyższenia się we własnych oczach rozkochał się w literackim typie antymieszczucha. Dogadzano mu więc jak kto uważał i mógł. Tacy nadrealiści np. w pocie czoła musieli sięgać do wszystkich środków szarlatanerii. Automatyczne pisanie, nonsens, niezrozumialstwo zapewniały im utrzymanie. Wobec tego, że nie uprawiali (z małymi i lichymi wyjątkami) gatunku powieściowego, wskazywali na siebie samych jako na przykłady antymieszczańskich bohaterów. Jakżeż często, ażeby zadośćuczynić tym rozbudzonym mieszczańskim potrzebom, musieli dorabiać antymieszczańską legendę do swoich statecznych, uregulowanych, bardzo mieszczańskich trybów życia. André Breton (teoretyk i ideolog nadrealizmu), żywy przykład cnót mieszczanina, sam o sobie szerzył opinię rozpustnika i zboczeńca. Poeta Benjamin Péret żyjący dostatnio z pensji, którą mu wypłacała babka, uchodził za utrzymanka, sutenera i kleptomana. Cóż, doszło do tego, że pisarz, ażeby obudzić zainteresowanie swojego mieszczańskiego czytelnika, jeśli nie miał dość talentu, ażeby napisać obrzydliwą książkę, musiał przynajmniej udawać, że żyje jak świnia.

Aż wszystko prysło.

A gdy prysło, to prysło raz na zawsze. Dziś już tylko naiwni biorą na serio literackie „izmy". Lafcadio Gide'a miał niemało naśladowców, którzy aktem bezinteresownej zbrodni chcieli zdobyć wyższy stopień człowieczeństwa. Mówią o tym policyjne kroniki. Szczęście jednak camusowego Meursaulta (bohater „Cudzoziemca") nie pociąga. Nikt nie kwapi się sięgać po absurdalne uczucie pełni życia, którą ma mieć każdy skazaniec, gdy w pełni świadomości przeżywa ostatnie chwile przed egzekucją.

Lecz przyczyną najważniejszą wzrastającej izolacji burżuazyjnej literatury jest przeciwstawiający się jej ideał kultury i literatury służącej społeczeństwu. We Francji o literaturę toczy się dzisiaj walka. Walka namiętna, tak namiętna, jak walka o chleb.

Pisarze Ruchu Oporu (tego prawdziwego a nie formalnego tylko) nie oddziaływują na literackie kawiarnie i piwnice Paryża. Cicho jest o nich w dzielnicy Saint Germain des Près, gdzie się kreuje bogów literatury oraz tworzy mody na style. Cicho jest o nich w mieszczańskich salonach, gdzie jury stu kilkudziesięciu nagród literackich wybiera sławy miesiąca, tygodnia lub jednego wieczora.

Nie łatwa jest to walka, bo walczyć trzeba o wszystko. Dosłownie o wszystko. O uczciwość, sens, rzetelność myśli, o styl, o każde słowo niemal. Ażeby przedstawić prawdziwy obraz świata i rzeczywiste sprawy człowieka, trzeba się przekopać przez mistyfikację, tromtradrację, zakłamanie, lenistwo, sto snobizmów... Przyzwyczajenia i literackie gusty, im gorsze, tym uporczywiej żyją. Najoczywistsza prawda ma przeciwko sobie tysiąc nonsensów, a każdy — czcigodny, z siwą brodą, tradycją i filozoficznym systemem. Przeciwko literaturze, która wyraża człowieka wytacza się zarzuty wszystkich kalibrów. Schematyczności, oschłości, prostactwa itd. — Wasz człowiek jest papierowy — mówią krytycy burżuazyjni — nie zmienia się, jest wciąż taki sam. A człowiek to przecież — i rozpoczyna się litania — istota nieznana, rozpaczliwa, metafizyczna, absurdalna, patologiczna, moralna, biologiczna... Odmawiana w kawiarniach Saint Germain des Près litania ta jest każdego dnia coraz dłuższa.

Współczesna francuska twórczość postępowa wyraża tylko ten jeden sens świata i spraw ludzkich. Nie ma dziedziny myśli i wzruszenia ludzkiego, gdzie by nie powstawały — przyznają to półgębkiem, chociażby przez fałszowanie postępowych ideałów najzawziętsi przeciwnicy — dzieła najbardziej zasadnicze dla intelektualnego i artystycznego odrodzenia Francji.

Dzięki marksizmowi kultura francuska może powrócić do swojego racjonalistycznego nurtu. Myśl i literatura francuska skażone przez irracjonalistyczne tendencje od bergsonizmu do egzystencjalizmu, od dadaizmu do jeszcze raz egzystencjalizmu, od nadrealizmu do po trzykroć egzystencjonalizmu, swoje ocalenie zawdzięczać będzie tym myślicielom i tym pisarzom, którzy zaangażowani są dzisiaj w walkę o właściwy sens świata.

Tak jak w fizyce Joliot Curie, jak w biologii Marcel Prénaut, jak w filozofii Henri Lefebvre, tak w literaturze Aragon, Eluard, Guillevic, André Verdet, nieżyjący Louis Parrot, Jean Kanapa, Pierre Courtade, Réné Char, Francis Ponge, Jean Marcenac każdy w swoim zakresie, ten w poemacie, ów w powieści, tamten w reportażu lub w pracy publicystycznej, tworzą jedyne dzisiaj we Francji wartości pozytywne. Siła treści które wyrażają, jest taka, że nawet w dzisiejszej walce o przyszłe, lepsze życie budują intelektualne i artystyczne formy na jutro.

„My nie po to piszemy, aby pocieszać. Nasze słowa mają być konstruktywne". (Jean Marcenac).

„Prawdziwa wielkość dzieła polega na tym, że zapowiada życie i pociąga człowieka ku temu co będzie dlań wzorem i nauką". (André Chamson).

„My narzucimy nadzieję
Narzucimy życie
Niewolnikom, którzy rozpaczają".

(Eluard).

Współczesna francuska literatura postępowa rodzi się z walki. Nie z utarczek kilkudziesięciu ludzi o znaczenie pojęcia rozpaczy w paryskiej kawiarni. W okresie okupacji była w maquis i w koncentracyjnych obozach. Dziś jest na froncie walki o wolność i pokój. Ażeby odszukać źródła jej natchnienia, trzeba sięgać nie po plan paryskiego metra, ale po mapę Francji.

Geografia francuskiej literatury współczesnej uległa wielkim zasadniczym zmianom od czasu wojny. Zmianom tym ulega dalej. Stare źródła wysychają lub sączy się z nich już tylko mętna i zatruta woda. Wchodzą natomiast do francuskiej literatury konkretne, i już bez przenośni, miasta, przedmieścia i osady fabryczne. Po raz pierwszy we francuskiej literaturze zaczyna mieć pojęcie teren. Bo dotychczas poza Paryżem nie było zbawienia. A i tak ten Paryż sprowadzał się do kilkunastu wysiedzianych przez konwencję miejsc.

Walka o francuską literaturę rozgrywa się wszędzie, gdzie żywi ludzie walczą o żywe sprawy. W fabrycznych osadach paryskich przedmieść, w Ivry, Issy-les-Moulineux, w Aubervilliers, w portowej dzielnicy Marsylii, na Korsyce, w fabrycznym Lionie, w górniczym Saint Etienne.

Obecnie w całej Francji powstaje nieznana tam dotychczas forma życia literatury. Postępowi pisarze nawiązują w sposób zorganizowany kontakt ze swoimi czytelnikami. Nie mają żadnych ułatwień administracyjnych, nie rozporządzają samochodami żadnego „Czytelnika". Są szykanowani i nie rzadko są ofiarami represyj policyjnych. Z inicjatywy Elzy Triolet odbywa się we francuskim terenie bitwa o książkę. Pisarze postępowi idą do robotniczych osiedli i niosą im żywe słowo nadziei. Odbyło się już kilkadziesiąt masowych odczytów. Zorganizowano stoiskową sprzedaż książek. W trzech podparyskich miejscowościach poszło w świat około 8 tys. egzemplarzy powieści, reportaży i zbiorów wierszy. Lecz przełamanie bojkotu książek postępowych pisarzy przez burżuazyjne domy dystrybucyjne — nie jest pierwszym celem tej bitwy o książkę. Chodzi w niej przede wszystkim o coś bardziej zasadniczego dla życia literatury. O stały żywy jej kontakt ze sprawami życia i walki.

Odrodzenie francuskiej literatury współczesnej nie polega tylko na jej zadeklarowaniu się po stronie postępu. Nie o deklaratywność chodzi, ale o tworzenie takich wartości, które by trafiały w sedno spraw, które by zaspakajały potrzeby społeczne.

Przed francuską literaturą postępową stoi jeszcze olbrzymie zadanie. Celów jest wiele. Przede wszystkim rozbudzenie w pisarzu potrzeby służby społecznej, pozyskanie takiego czytelnika, który byłby żywym głosem odpowiedzi na wezwanie do walki, a nie echem tylko.

W bitwie o francuską książkę jesteśmy głęboko zainteresowani. Czekamy na jej zwycięstwo. Bo my także pragniemy takiej francuskiej literatury, która by nam mądrze, po kartezjańsku (bez cudzysłowu) służyła sprawie człowieka.

Zbigniew Bieńkowski

S Z E

i nieba kolor, inne oczy dzieci,
inne miłości tkliwe i najprostsze
słowa partyjnych przysiąg i nakazów,
za które tylu oddawało życie,

o których krzyczeć nie trzeba, same mówią
gałęzią wiosny, świeżością zieleni,
to bólem oszczerstw, to prawdy radością,
że walczyć trzeba o pokój na ziemi...

ze sobą nawet, kiedy duch upada
głęboki smutek obciąża powieki
i sień ciemnieje z wody stągwią chłodną
u matki — w domu o życie dalekim.

LIST DO PIOTRA WYROBKA

Tak trudno mi mówić do Was, obywatelu,
starszy o życia pół wieku, jak Wam kiedyś dzieckiem
przeskoczyć nurt Skawy, która pianą pryska
aż na deski zerwanej kładki, co wiodła do szkoły.

Już na zawsze wzburzony ten nurt, co z gór pędzi
odciął głos Wasz od chóru chłopców, gdy śpiewają,
gdy w ulu szkoły brzęczą, gdy czytają głośno
wiersze, które po kładkach rymów lekko skaczą.

Już na zawsze ten płomień, co grał na nalepie,
kiedy ojciec weń cisnął z gniewem elementarz,
już na zawsze ten płomień objął Wasze serce,
Piotrze Wyrobku, Piotrze — wieczny samouku.

Nie wieczny. Dziś już biegną poprzez most na Skawie
dzieci lekko jak słówka w książce, a ojcowie
podnoszą rękę w górę: dobrze mi się sprawuj,
a Skawa pianą pryska na biegnące stopy.

Dziś już i Wy, choć płomień życia twarz przeorał,
siądziecie w szkolnej ławie obok robotnika.
Będzie Wam mówił odtąd: kolego Wyrobku,
nauka jest jak życie, nigdy jej nie dosyć.

Dziś powracacie na wieś, do swego Osielca
przez most na Skawie. Młodzi chcą, by Wasza ręka,
co z węgli wydobyła książkę gasząc łzami,
pierwsza pchnęła świetlicy drzwi, silna i młoda.

Ostatnia chwila życia — mówili Rzymianie —
rozpromienia most życia lub cień na nim kładzie
i zmazuje z żywotów pamiętnika wielu.
O tym myślę, gdy piszę do Was list, obywatelu.

GRZEGORZ LASOTA

Miedzy powieścią a reportażem

W pewnych kołach uważano swego czasu reportaż za formę literacką naszej epoki, formę która zastąpi powieść. Dziś wiadomo nam, że reportaż jako gatunek literacki idzie swoją drogą — powieść zaś ma wszelkie dane na dalszy rozwój i rozkwit.

Czy bankructwo teorii głoszących rozkład powieści oznacza kres wszelkiego nowatorstwa? Oczywiście, że nie. Świeża, nowa kompozycja (nadawanie powieści takich kształtów artystycznych, które w pełni oddadzą prawdę ideową utworu) jest potrzebna i pożyteczna. Dlatego nie należy uznawać za wzór schematu powieści mieszczańskiej. Wręcz przeciwnie. Należy szukać nowych form, ale form twórczych, nie przekreślających formalnej i ideowej zwartości utworu. Po lipcu 1944 roku wśród wielu, „teorii" spotkać by można było zarówno koncepcję, która nawoływała do czerpania wzorów z powieści pozytywistycznej, jak i hasła zwrotu w stronę reportażu. „Nie stać nas jeszcze na powieść, i długo jej jeszcze nie będzie. Piszcie reportaże... Chwytajcie rzeczywistość na gorąco. Powieść ustępuje miejsca reportażowi" — wołał pewien młody krytyk.

Różnie zostały te słowa zrozumiane. Pomijając już niesłuszność tego rodzaju sformułowań — należy zaznaczyć, że reportaż literacki jest formą nie mniej trudną od powieści. Kunszt reportażu literackiego nie przychodzi łatwo.

Nowo wydana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka i Wiedza" powieść Stanisława Kowalewskiego „Prosta droga" nie jest powieścią i nie jest reportażem. Jeżeli jest reportażem, to reportażem niedobrym. Reportaż z konieczności jest bardziej związany z faktami. Autor musi mówić o swoich wrażeniach, podawać charakterystykę ludzi zgodnie z rzeczywistością. W reportażu zakres fikcji literackiej jest bardziej ograniczony. Czy oznacza to, że autor rezygnuje z kompozycji literackiej, z celowej selekcji faktów?

Oczywiście, że nie. I kompozycja i selekcja faktów obowiązuje w reportażu. Patrzeć na rzeczywistość należy z punktu widzenia określonej klasy, określonych praw rządzących rozwojem społecznym, określonej ideologii.

Treść książki stanowią losy literata Andrzeja, który w roku 1948 przybył do miasteczka górniczego celem napisania powieści o pracy górników, ich trudnościach, niedoli, osiągnięciach. Po miesięcznym pobycie, Andrzej decyduje się pozostać i prowadzić robotniczą świetlicę. Poza krajoznawczymi wycieczkami Andrzeja po kopalni, autor ukazuje nam fragment życia osobistego swego bohatera, który poznaje w domu wypoczynkowym pewną kobietę. Ze słów autora należy sądzić, że Andrzej i Irena nawiązują ze sobą bliższe stosunki, które zresztą nie trwają długo. Andrzej nie ma czasu, Irena jest człowiekiem obcym ideowo... Andrzej pozostając z robotnikami, pozostaje wraz ze swą nową znajomą, robotnicą przybyłą z Francji...

Utwór Kowalewskiego odznacza się chaotycznością i brakiem hierarchii treści ideowej, ponadto nieudolną kompozycją i słabym stylem.

Brak hierarchii treści ideowych widoczny jest w doborze tematu. Postać Andrzeja, człowieka, dalekiego klasie robotniczej, człowieka, który przygląda się kopalniom i fabrykom wzrokiem turysty widzącego Kongo — jest nieciekawa i mało typowa. Gdyby pogłębiona ideowo i psychologicznie charakterystyka Andrzeja prowadziła do ukazania przemian w postawie życiowej Andrzeja, gdyby autor pokazał proces zbliżania się i łączenia literata Andrzeja z klasą robotniczą — wtedy powiedzielibyśmy, że „Prosta droga" jest jeszcze jedną (i to ciekawą) książką serii „inteligenckich obrachunków".

Tymczasem jest zupełnie inaczej. Problem Andrzeja jest naszkicowany bardzo niewyraźnie, nie przekonywująco. Wysunięcie tak ukształtowanej postaci na pierwszy plan, danie za tło kopalni — jest niesłuszne. Właściwie o pracy kopalni i o życiu klasy robotniczej niczego nowego się nie dowiadujemy.

Podstawowym elementem marksistowskiego spojrzenia na życie jest umiejętność odróżniania tego co rodzi się i rozwija od tego co ginie i umiera. Bez tej umiejętności nie można we właściwy sposób skonstruować dzieła literackiego. Brak tej umiejętności widoczny jest w „Prostej drodze".

Na czym brak ów polega? Na tym, że droga literata Andrzeja, jego perypetie i przeżycia, jego proces „zbliżania" się do klasy robotniczej — to problemy przeszłości, problemy zanikające. Nie należało pisać o środowisku górniczym właśnie przez pryzmat Andrzeja. Np. zamiast rozważań Andrzeja, dlaczego nikt nie przyszedł po niego o godzinie 5 rano, podczas „niedzieli pracy" — trzeba było więcej powiedzieć o samej „niedzieli pracy", pokazać jak ludzie pracują, jak wytwarza się w nich nowy stosunek do pracy w kopalni...

Brak hierarchii treści ideowych widoczny jest również na przykładzie Partii. Rola Partii w książce nie jest właściwie pokazana. Wiemy o przynależności partyjnej opisywanych ludzi — ale o zorganizowanej pracy Partii dowiadujemy się nie wiele. Autor nie potrafił pokazać tej motorycznej siły odbudowy i pracy naszych kopalń.

Nie czuje się w książce ciągłej troski Partii o ludzi, o wszelkie sprawy kopalni. Nie pokazano naprzykład żadnego zebrania partyjnego, związkowego czy młodzieżowego.

W utworze Kowalewskiego nie ma narastania zagadnień, nie widać rozwoju ideowego Andrzeja, nic nie prowadzi do końca książki, do ostatecznej decyzji Andrzeja. Jego decyzja pozostania z górnikami nie wynika z treści.

Język powieści dosyć niedbały, oschły. „Język" którym mówią robotnicy podchwycony nietrafnie, pachnie biurkiem.

„Wchodzą w bramę. Świecą zapałkami... Naciskają klamkę. Wchodzą. Stoją stoły i stoliki". (160 str.) „Wzruszenie wciąż nadchodziło Andrzeja dławiącą falą" (88 str). „Nie widząc jej jeszcze, zawieszony oczyma wśród tańczących uśmiecha się radośnie. Obraca się i ściska jej rękę". (84).

Nie potępiam przytem w ogóle stylu opartego o krótkie, urywane zdania, którym posługuje się Kowalewski. Sprawia on jednak u niego wrażenie pewnej nieporadności. A wiemy, że umiejętność operowania takim stylem może dawać wspaniałe rezultaty, jeżeli jest stosowana we właściwy sposób (np. u Erenburga).

*

Zarzuty pod adresem Kowalewskiego służą oczywiście do pokazania pewnych aktualnych zagadnień powieści. Niebezpieczeństwo upraszczania — które widoczne jest w „Prostej drodze" wywodzi się prosto z opowiadania tegoż autora pt. „Walka klas". Aczkolwiek krytyka zupełnie słusznie uznała „Walkę klas" za czołowe osiągnięcie Kowalewskiego widząc w tym pewien zwycięski etap drogi pisarskiej od „Ofiarowania" poprzez „Niedostatecznie" do „Odzyskanego świata" — pewne niebezpieczeństwa schematyzmu czy reportażowości w „Walce klas" były zupełnie widoczne. Niebezpieczeństwa te staraliśmy się ukazać na przykładzie „Prostej drogi".

Chodzi tu o pewne prześlizgiwanie się po powierzchni zagadnień. Ostatnie wędrówki pisarzy w teren potwierdziły ogólny charakter tego zjawiska. Zetknięcie się z nowymi ludźmi, z nowymi wydarzeniami, z nowymi procesami społecznymi — zaskakują pisarzy — których dotychczasowe oderwanie od naszej współczesności okazuje się zdumiewające.

Pisarz przybywający do nieznanego środowiska widzi zjawiska w specjalnie mocnym oświetleniu. To dobrze. Pozwala to na dostrzeżenie nowych elementów powszedności — z których, ci co w niej tkwią nie zdają sobie często sprawy.

Ale przy tym dostrzeganiu zjawisk z szerszej perspektywy należy sygnalizować niebezpieczeństwo dwóch skrajności. Nazwijmy je „urzędowym optymizmem" i „perspektywą kuchennych schodów". Obie wywodzą się rzecz jasna z braku marksistowskiego spojrzenia na życie. Pierwsza polega na ekstatycznych zachwytach, okrzykach „ach" itp. Przebija z nich nieumiejętność dostrzeżenia tych wielkich zmagań klasowych, widocznych na każdym kroku. Spojrzenie takie jest zachwytem nad egzotyką — nowych zjawisk społecznych. Tylko nad egzotyką...

Druga skrajność, to sugerowanie się niedociągnięciami, ciemnymi stronami życia, zacofaniem wsi, biurokracją, bolesnymi drobiazgami. Taka perspektywa „kuchennych schodów" oczywiście nie pozwala na nic innego jak na naturalistyczną obserwację o dekadenckim zabarwieniu.

*

Stanisław Kowalewski nie mówi nam w jakim mieście przebywał Andrzej. Powiedzmy za niego — rzecz dzieje się w Wałbrzychu. Wskazują na to wszystkie realia. W tym mieście które opisuje Kowalewski, w okresie pisania „Prostej drogi" (lato 1948 r.) w kopalni „Biały kamień" (odwiedzanej przez Andrzeja) Roman Ogrodowczyk walczył o utworzenie młodzieżowej brygady. Szkoda, że Kowalewski nic nie napisał o Ogrodowczyku.

Roman Ogrodowczyk pochodzi ze wsi. Parę hektarów kieleckiej biedy, zabita wieś. W 1948 r. rusza na Zachód. Na początku zapewne ciągnie go mit bogactwa, możliwości łatwego zarobku. Ot, po prostu mit „szabru". Potem Ogrodowczyk wstępuje do organizacji. Jest aktywistą Związku Walki Młodych.

W kopalniach brakuje ludzi. Niemcy wracają do swojej ojczyzny, brak jest fachowców. Ogrodowczyk zaczyna pracować w „Białym Kamieniu" jako niewykwalifikowany robotnik. Rosną procenty wykonania planu. Rośnie jego świadomość klasowa. Postanawia zorganizować brygadę młodzieżową. Pierwszą brygadę w przemyśle górniczym.

Nie łatwo przedrzeć się przez gąszcz uporu, rutyniarstwa, zaśniedziałej biurokracji. Trudności: dyrekcja, Rada Zakładowa, nawet organizacja partyjna... Tysiące przeszkód piętrzy się przed Ogrodowczykiem i jego kolegami. Argumenty, że praca, zbyt trudna, że szczególne warunki, że nie można... Ale Ogrodowczyk nie ustępuje i zwycięża. Teraz brygada przekracza normę. Na łamach prasy młodzieżowej pojawiają się reportaże „Zwycięzcy z młodzieżowej ściany Harte" — pisze Zygmunt Korta na łamach „Pokolenia". Dzisiaj Roman Ogrodowczyk jest odpowiedzialnym pracownikiem politycznym Wałbrzyskich Związków Zawodowych. Pokazać jego awans, jego pracę, pokazać nie drogą relacji dyrektora kopalni — oto prosta i najwłaściwsza droga.

Droga do współczesnej powieści nie jest prosta. Jeżeli twierdzimy, że forma to zjawisko wtórne w stosunku do treści, jeżeli w pierwszym rzędzie zwracamy i będziemy zwracać uwagę na treść dzieła literackiego — to wcale nie znaczy iż mamy rezygnować z artystycznej oceny utworu i tę artystyczną ocenę bagatelizować. Wyższy poziom artystyczny to większa możliwość ideowo - politycznego oddziaływania dzieła literackiego.

Stosując ostre kryteria wobec poziomu artystycznego książki Kowalewskiego nie możemy zapominać iż autor sięga do współczesnych tematów. Pokazuje pewien wycinek rzeczywistości, nie ucieka od życia. Walczy z trudnościami, nie cofa się przed nimi. Chcąc pokazać trudny proces przemian pisarza w naszych czasach — nie staje na pozycjach jałowego sceptycyzmu, na pozycjach jałowego inteligenckiego narzekania, jak to uczynili inni jego bardziej doświadczeni koledzy (np. „Pałeczka" Rudnickiego).

Stanisław Kowalewski chce chwycić naszą współczesność „za rogi". Jest to jego poważną zasługą. Należy sądzić, że w swojej dalszej twórczości Stanisław Kowalewski dowiedzie, że nadzieje związane z „Walką klas" nie były płonne, że były w pełni uzasadnione.

Grzegorz Lasota

EWA KORZENIEWSKA

Powieści Orkana z perspektywy dnia dzisiejszego

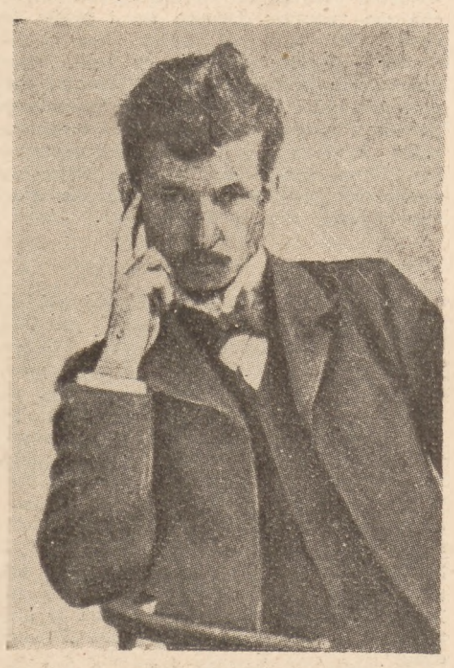

Władysław Orkan był pisarzem, którego twórczość przypadała na długi przeciąg lat zamkniętych datami 1898—1927. Jego bardziej znane, a wydane znowu po wojnie utwory są niezmiernie charakterystycznym świadectwem tej drogi pisarskiej, którą przebywała większość tak zwanych pisarzy młodopolskich.

Powieść „Komornicy" wydana w 1900 roku pokazuje Orkana - realistę, który w prawdziwym widzeniu życia wiejskiego szuka odpowiedzi na dręczące go problemy społeczne. Pisarz przedstawia tu dolę komorników, wyzyskiwanych i gnębionych przez zamożnych gospodarzy i trafnie pokazuje, że istotną przyczyną cierpień biednego gospodarza lub bezrolnego jest krzywda społeczna i zrodzona z niej nędza materialna. Cała pierwsza część powieści o charakterze opisowym daje dużo prawdziwych realiów i zgodnie z ówczesną sytuacją na wsi przedstawia życie rodzin komorników. W części końcowej autor doprowadzając do rozwiązania wątki powieściowe, usiłował zająć wobec opisywanego życia stanowisko ideologa, który wyprowadza wnioski z nagromadzonego materiału. Tu wystąpił niezmiernie charakterystyczny dla myśli mieszczańskiej lęk przed wyprowadzeniem jedynie logicznych i prawdziwych wniosków. Cierpieniom komorników autor przeciwstawił osobiste przeżycia bogacza Chyby, którego słowa „Dyć na tym świecie wszyscy komornicy" zamykają powieść. Ten epilog następujący po opisie pogrzebu komornicy Margoski jest fałszem ideologicznym. Świadczy o tym, że autor cofnął się przed jedynie konsekwentnym zamknięciem utworu beznadziejnością doli komorniczej, które byłoby wołaniem o zmianę istniejących stosunków ustrojowych i dlatego przeciwstawił wymowie całej powieści indywidualną tragedię Chyby, jako tragedię losu każdego człowieka, który jest na tym świecie tylko komornikiem. Epilog ten jest także fałszem artystycznym. Pokazując przez cały ciąg powieści Chybę jako wyzyskiwacza i podłego człowieka Orkan nie mógł przekonywująco wzbudzić w czytelniku litości dla jego jakże zasłużonych cierpień.

Powieść „Komornicy" jest typowym świadectwem schyłku realizmu mieszczańskiego. który na przełomie lat 1900 jeszcze pokazywał zaobserwowaną prawdę faktów, ale wobec wzrastającego zagrożenia przez ruch rewolucyjny celowo z tych faktów wyprowadzał fałszywe uogólnienia,

Drugi etap twórczości Orkana najpełniej charakteryzuje powieść „W Roztokach", która była typową dla modernistów próbą wyjścia poza realistyczną opisowość i szukała rozwiązań ważnych problemów społecznych w sferze indywidualnego buntu jednostki. Zgodnie z wcześniejszym ujęciem życia wsi pisarz i w tym utworze przeciwstawia rodowym bogaczom biedotę wiejską, ale przeciwstawienie to jest już tylko problemem, który nie znalazł wyrazu w obrazowym skontrastowaniu doli zamożnych i ubogich mieszkańców gminy Przysłopskiej. Zamiast realistycznie w „Komornikach" traktowanej biedoty wiejskiej, w „Roztokach" Orkan pokazuję kilka półobłąkanych ofiar ludzkiego okrucieństwa, które żyją w sferze mistycznych doznań i jakiejś pseudo-humanitarnej miłości dla wszystkiego, co istnieje.

Podobnie odrealniony został problem społeczny. Rakoczy lituje się nad biedotą wiejską z przyczyn bliżej nieokreślonych. Mówi o jej cierpieniach, tęsknocie do wolności, upodleniu i tym nieokreślonym społecznie cierpieniom przeciwstawia równie nieokreślone marzenia o swobodzie, szczęściu, pięknym, wolnym życiu. Ostrość problematyki społecznej została jeszcze bardziej zatarta przez to biologiczną koncepcją życia. Franek równie silnie odczuwa cierpienia skrzywdzonej zrąbaniem lasu zwierzyny, jak niedolę biedoty-żmudzi.

Orkan próbował rozwiązać doniosły problem społeczny w ramach istniejącego ustroju, próbował rozwiązać go za pomocą indywidualistycznego buntu jednostki, która chce narzucić gromadzie wiejskiej koncepcję zrodzoną w samotniczych widzeniach. Utopijna koncepcja Franka stworzenia kooperatywy ludzi szlachetnych to wierne echo reformistycznego programu Abramowskiego, który ideologii proletariatu przeciwstawił solidarystyczny mit jedności narodowej w ustroju burżuazyjnym.

Realizm Orkana znalazł wyraz dopiero w zakończeniu powieści. Zakończenie jest — jak zgodnie z prawdą historyczną być musiało — zupełną klęską Franka. Jego koncepcje zostają wyśmiane i zlekceważone, a szczęście osobiste złamane odejściem Hanki. W zamierzeniu Orkana tragizm losów Franka miał być zapewne odsłonięciem metafizycznego tragizmu jednostki nieprzeciętnej, miał pokazywać beznadziejną ograniczoność rady gminnej, złożonej z bogatych rodowych gazdów. W rozumieniu dzisiejszego czytelnika tragizm zakończenia jest konsekwentnym wynikiem tego, że poczynania Franka nie opierały się na żadnej sile zbiorowej, że były utopijną koncepcją naiwnego indywidualisty, którego program nie mógł rozwiązać problemu krzywdy społecznej.

W okresie narastającej reakcji po 1905 roku pisarze moderniści coraz bardziej oddalali się od realizmu przenosząc problematykę w sferę metafizyki, lub ograniczając się do opisów indywidualnych przeżyć jednostki. Orkan, pisarz najgłębiej związany ze wsią, pozostał wierny tematyce życia góralskiego, ale zmieniła ona zasadniczy swój kształt ideologiczny i artystyczny. Niezmiernie typowym zjawiskiem było odwrócenie się pisarza od problematyki współczesnej. W 1910 roku Orkan wydaje powieść „Pomór", która opisuje klęskę głodu i zarazy na wsi podhalańskiej w latach 1847—8. W utworze tym autor pomija zupełnie problematykę społeczną pokazując klęskę człowieka w walce z siłą nadprzyrodzoną. W związku z tak postawionym zagadnieniem Orkan nie buduje swych postaci metodą realistyczną. Nie są to chłopi określonej wsi i czasu historycznego — są to ludzie rażeni śmiertelnie ciosami bezlitosnego losu, których dzieje i postacie podlegają, jakże w naszym odczuciu fałszywej, stylizacji modernizmu. Melodramatyzm wydarzeń, celowe gromadzenie okropności, obłęd Łukasza udającego sowę, patetyczność stylu — wszystkie te elementy młodopolskiej stylizacji, są wymownym dowodem tego, że ucieczka od realizmu stwarza dzieło artystycznie martwe.

W ostatnim okresie swej twórczości, w latach 1925 — 7, Orkan wydaje powieść pisaną od 1899 roku pt. „Kostka Napierski" i publicystyczne „Listy ze wsi." W tym czasie jak stwierdza we wstępie do „Listów ze wsi" Prof. Pigoń: „Śmiało i nie cofając się przed pełnią konsekwencji rozstał się Orkan i z owym szczątkowym schematem romantycznego demokratyzmu, tym głębiej i pełniej gruntując zarazem w sobie zasady czystego humanitaryzmu. Nie klasa społeczna jest już dlań wartością najistotniejszą ,ale człowiek; w człowieku zaś nie taka czy owaka pozycja socjalna, ale właśnie kaliber duszy, miara wrodzonej godności i podatności do wzrostu, słowem — jak to Orkan określił — rasa duchowa. Dawny uproszczony podział klasowy jest jak najbardziej nieistotny. Ludzi o duszy wzniosłej, „rasowych", spotkać można na wsi u góry i na dole, nawet na dnie; a więc wśród arystokracji wiejskiej: sołtysów i gazdów równie dobrze, jak wśród najbiedniejszych komorników, nawet między odpadkami społeczeństwa, wśród Cyrków czy Drozdów ze szpitalika. Ale i naodwrót — duszę nijaką, tępą, niezdolną do wzrostu, znajdziesz równie wśród biedoty jak i wśród możnych. To rozeznanie zmieniło Orkanowi widok wsi i jej spraw." Te słowa prof. Pigonia stwierdzają prawdziwe fakty lecz mylnie je interpretują. Orkan istotnie w tym okresie staje się wyznawcą biologizmu, regionalizmu uzasadnianego odmiennością rasy góralskiej, obrońcą rodowych górali, którzy w jego ujęciu są wyżsi od biedoty „tradycją prostującą ducha". Orkan staje się przeciwnikiem liberalizmu i wyraźnie poddaje się wpływom ideologii faszyzmu Nie jest to jednak wyrazem jak mówi Pigoń „męstwa serca i śmiałości myśli", lecz jest opowiedzeniem się po stronie sił hamujących postęp, jest wycofywaniem się z tych pozycji, z których można było dojrzeć choć część prawdy życia społecznego i tworzyć dzieła realistyczne.

Nowe stanowisko ideologiczne Orkana zostało wyraźnie sprecyzowane w „Listach ze wsi." W „Kostce Napierskim", powieści, która powstawała przez dwadzieścia parę lat można dostrzec zarówno elementy wcześniejszego rozumienia rzeczywistości, jak i późniejszą wyraźnie związaną z okresem powojennym interpretację ideologiczną. Do koncepcji pierwotnej należy ostro postawiony problem walki społecznej. Na tle wieku 17-ego Orkan dojrzał istotnie bardzo doniosły konflikt walki o władzę między królem a możnowładcami, którym przeciwstawić się mogła tylko siła całego narodu. Kostka Napierski, zresztą niezgodnie ze źródłami historycznymi, jest w tej powieści wyrazicielem oparcia władzy królewskiej na ludzie i dąży do podważenia podstaw ustrojowych ówczesnej Polski. Ten zarysowany już w latach 1900-nych schemat powieści pozostał zasadniczą osią utworu. Jego realizacja artystyczna, kształtowana później, wniosła elementy charakterystyczne dla światopoglądu ostatniego okresu twórczości Orkana. Mit Kostki Napierskiego jest typowym dla lat międzywojennych mitem wodza, otoczonego legendą. Postacie górali — zbójników są stylizowane w duchu biologicznych koncepcji kultu sił witalnych. Kostka Napierski opiera się w swej akcji na ludziach w gruncie rzeczy głęboko amoralnych, kierujących się najprymitywniejszymi instynktami. Są to przede wszystkim zbójnicy, żyjący poza właściwą społecznością góralską lub stylizowani na niezłomnych bohaterów patryjarchowie bogatych rodów. Kostka Napierski podobnie jak Franek Rakoczy przychodzi z gotowym programem działania. W „Roztokach" poczucie prawdy historycznej kazało autorowi zamknąć powieść klęską Franka. W „Kostce Napierskim" górale poddają się łatwo woli samozwańczego wodza, którego program w literackim ujęciu Orkana jest zbiorem patetycznych, nieokreślonych frazesów.

Twórczość Orkana posiada dzisiaj wartość historyczną. Pokazuje w wielu utworach istotne konflikty życia społecznego, daje dużą wiedzę o obyczajach i realiach życia wsi podhalańskiej. Jednocześnie jest niezmiernie charakterystycznym w ustroju burżuazyjnym przykładem dziejów pisarza, który związany pochodzeniem i przywiązaniem całego życia ze wsią stał się pełnym wyrazicielem ideologii mieszczańskiej staczającej się z pozycji liberalistycznych ku faszyzmowi.

Ewa Korzeniewska

Wśród książek

Idealistyczny wizerunek wsi*)

Powieść Kłosowskiego z lat 1938-39 oparta jest na tematyce wiejskiej. Głównym wątkiem fabuły uczynił autor konflikt pomiędzy gromadą a dworem o prawo połowu ryb w miejscowym jeziorze, zaś w ramach tego zatargu umieścił wątek drugi, polegający na kontrastowym zestawieniu postaci dwóch księży — proboszcza i wikarego, z których pierwszy stoi po stronie zachłannego dziedzica, zaś drugi broni interesów chłopskiej gromady.

Centralną osobą powieści i porte-parole'm autora jest ascetyczny, „franciszkański" wikary, ks. Jan, przeciwstawiony egoistycznemu, korzystającemu ochoczo z wszelkich uciech życiowych, proboszczowi. Ksiądz Jan zdaje sobie sprawę z krzywdy i upośledzenia chłopów, z niesprawiedliwości podziału klasowego, — wie i rozumie, że ustrój kapitalistyczny jest „oparty na kłamstwie, przemocy, krzywdzie i wyzysku człowieka przez człowieka". Ale ksiądz Jan nie uznaje drogi rewolucyjnego czynu, drogi zastosowania masowej siły przeciwko tyrańskiemu panowaniu uprzywilejowanych pasożytów. Zło, istniejące na świecie, pragnąłby ks. Jan zniszczyć jedynie przy pomocy ewangielicznej dobroci i miłości bliźniego, modlitwy i wiary w ostateczną sprawiedliwość opatrzności.

Gdy jedna z dziewcząt wiejskich skarży się wikaremu, że ojca jej niesłusznie pędzą do kryminału, ks. Jan odpowiada: „Módl się, moja droga, a może Bóg przemieni..." Niestety, nic się nie przemieniło, a stary Flis, na mocy wyroku sanacyjnych sędziów, musiał odsiedzieć swoje.

Nie obniżając wartości humanistycznych idei, głoszonych przez ks. Jana, trzeba jednak stwierdzić — na podstawie doświadczeń historii 2000 lat, że same przez się nie mają one mocy zmieniania rzeczywistości i sprowadzania „królestwa bożego" na ziemię, usuwania krzywd i niesprawiedliwości społecznych. Żadna bowiem z klas posiadających nie ustępuje z widowni dziejowej dobrowolnie i bez zaciętej walki, a w tej walce ludzie, dążący do lepszej przyszłości świata, muszą imać się innego oręża, niż zaleca to filozofia ks. Jana.

Jest w powieści Kłosowskiego postać, zdawałoby się, predystynowana na nosiciela zdrowego i twórczego buntu społecznego, ma urodzonego przywódcę gromady chłopskiej. Ale cóż?... Z Łukasza Flisa, syna małorolnego chłopa i studenta prawa, który i na własnej skórze poznał wszystkie nieprawości i nikczemności ustroju wyzysku, uczynił autor jakiegoś ponurego nihilistę, bezmyślnego burzyciela, ordynarnego złodzieja i potencjalnego mordercę. Moralność tego Łukasza jest w interpretacji autora jakgdyby moralnością kapitalistyczną à rebours: problem społeczny sprowadza się dla Łukasza jedynie do zwierzęcej walki o dobra materialne po prostu o — pieniądze. Nic poza tym nie istnieje; ważny jest tylko inny podział łupów.

Idealizując i stylizując niemal na „ludotwórcę" księdza Jana, Kłosowski przedstawił Łukasza jako antytezę wikarego, jako szatana w ludzkim ciele, — mimo, że odczucia, myśli i poglądy tych dwóch ludzi są w istocie zbieżne i pokrewne. Kłosowski nie umiał się oprzeć naciskowi konwencji, właściwej pisarzom obozu fideistycznego, nawet tym, którzy przyznają się wobec siebie i czytelników do radykalizmu społecznego i niezależności pojęć; a w myśl tej konwencji, wszystko, co tchnie ostrym i bezkompromisowym protestem społecznym, co niesie w sobie zarzewie czynnej, rewolucyjnej walki, z reguły jest degradowane moralnie, farbowane na czarno, przedstawiane w kształtach i wymiarach negatywnych.

Konwencja, o której tu mowa, jest jedną z przyczyn, które sprawiają, że powieści pisarzy, stroniących od marksizmu, pomimo niemałych w wielu wypadkach wysiłków autorskich, nie mogą nigdy dać pełnego i wyrazistego obrazu spraw i zjawisk naszej epoki, że są zawsze w jakimś miejscu kalekie i ułomne, że ukazują w najlepszym razie tylko cząstkę prawdy, lecz nie jej całość, na tle realnych powiązań i uzależnień socjalnych. Gmach koncepcji powieściowej, wzniesiony na sypkim gruncie idealistycznego pojmowania świata, paczy się i osuwa, traci przejrzystość linii i ścisłość proporcji, daje w ostatecznym wyniku konstrukcję nierówną i zniekształconą. Nie uniknęła tego losu i powieść Kłosowskiego, a taki właśnie efekt nie może być rewelacją dla nikogo spośród tych, którzy utwór powieściowy o tematyce społecznej, klasowej traktują z pozycji realizmu socjalistycznego, a nie według „pojednawczych" i czysto deklaratywnych kryteriów pisarzy obozu niemarksistowskiego.

Na dobro Kłosowskiego zapisać należy, że odważył się na śmiałą, zjadliwą nawet krytykę antypatycznej osoby proboszcza — ks. Łosia i sfanatyzowanych tercjarek, co w pewnych sferach uznane będzie zapewne za akt zuchwalstwa i libertymizmu, — oraz że nie poszczędził słów dotkliwej prawdy pod adresem dziedzica Jodłowskiego i jego sanacyjnych przyjaciół. To ostatnie zresztą, w dzisiejszych warunkach, nie należy już do kategorii bohaterskich czynów pisarskich. W słabej na ogół i sztucznej pod względem założeń myślowych powieści Kłosowskiego bodajże najlepiej udał się autorowi pospolity treścią, lecz wstrząsający głosem ludzkiej niedoli — epilog wyrobnicy — dzieciobójczyni Strąkowej, prawdziwej ofiary stosunków „czworacznych".

Z tym wszystkim jednak, „Walka z aniołami" nic nowego ani cennego do naszej wiedzy o przedwrześniowej wsi polskiej nie wnosi.

Bolesław Dudziński

*) Józef Nikodem Kłosowski. Walka z aniołami. Powieść — Projekt okładki Jan Gottwald. Warszawa, Eugeniusz Kuthan, 1949, Str. 251 i 1 nl.

Nowa siedziba Związku Literatów

Organizowany na koniec czerwca Zjazd Związku Literatów Polskich odbędzie się już w nowej, własnej siedzibie Związku. W dniu 3 b.m. odbyło się uroczyste przekazanie Ministerstwu Kultury i Sztuki oraz Związkowi Literatów wykończonej przedterminowo przez załogę „Betonstalu" pięknej i okazałej siedziby Związku w dwu połączonych, zabytkowych kamieniczkach Johna i Prażmowskich przy ul. Krakowskie Przedmieście 87/89.

Dom Związku mieści piękną salę konferencyjną na około 200 osób, pomieszczenia biurowe Zarządu Głównego i Zarządu Oddziału Warszawskiego Z.L.P., czytelnię i bibliotekę, niewielki lokal klubowo-kawiarniany, pokoje gościnne, oraz parę lokali mieszkalnych dla pracowników względnie członków Związku.

W uroczystości przekazania Domu wzięli udział minister Kultury i Sztuki Stefan Dybowski, kierownik Ministerstwa Budownictwa — Roman Piotrowski, członkowie Zarządu Głównego oraz Zarządu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów, kierownictwo budowy oraz załoga budowlana.

Charakteryzując ambitną i ofiarną pracę załogi „Betonstalu" przy wykończeniu domu Związku, min. Piotrowski podkreślił, że stanowi ona swego rodzaju rekord, jeżeli chodzi o szybkość, oraz kumulację i synchronizację różnego rodzaju robót wykończeniowych i instalatorskich, wymagających z reguły o wiele dłuższego czasu, niż wykonanie budynku w stanie surowym, i przeprowadzonych tu w imponującym okresie paru miesięcy. Przedstawiciel kierownictwa budowy podkreślił, że cała załoga budowlana pracowała z pełną świadomością, iż budynek będzie ogniskował życie pisarzy i służył sprawie realizacji wielkich zadań, jakie ma przed sobą nasza współczesna literatura, i że stanowiło to poważny czynnik dopingujący wysiłek załogi, aby dom Związku wykończyć w terminie.

Przy pracach nad ukończeniem Domu Związku Literatów wyróżnili się w sposób szczególny: sztukatorzy — Szymanowski Antoni, Starosta Zygmunt, Kuska Stefan, Baum Karol; murarze — Kaliszewski Stanisław, Stolarski Józef, Karpiński Jan, Zaniewicz Bronisław, Mizerski Wincenty; robotnicy — Lubelski Marian, Kacprzak Franciszek, Aniszewski Władysław, Sromecki Ryszard, Bańkowski Jan; zbrojarze — Machul Antoni, Wróblewski Franciszek; cieśle — Kaulenas Leopold, Nowicki Zygmunt, Wilk Aleksander, Czarnecki Jan, Czechowski Władysław; ślusarze — Szczypek Józef, Konopka Roman; spawacz — Mazek Tadeusz; malarz — Stefan Władysław; stolarze — Żaczek Stefan, Woźniak Stanisław, Żukowski Władysław, Cal Henryk, Płochocki Jan, Prokopik Aleksander; przedstawiciele kierownictwa robót, inżynierowie — Wyleżyński Jerzy i Jankowski Stefan; majstrowie — Mizerski Zygmunt, Wylerych Walenty, Falkowski Piotr, Konopka Stanisław ,Jung Karol; magazynier — Kasztelański Tadeusz; przewodniczący Rady Zakładowej — Boczkowski Feliks; nacz. administr. — Kulczyk Stefan.

Prezes Zarządu Głównego Z.L.P. Leon Kruczkowski, dziękując w imieniu Związku załodze budowlanej i kierownictwu budowy, oświadczył, iż fakt, że Polska Ludowa obdarzyła Związek Literatów tak piękną siedzibą, przyczynia się dodatkowo do wzmocnienia poczucia pełnej odpowiedzialności pisarzy za dopełnienie zobowiązań względem społeczeństwa, jakie na nich ciążą.

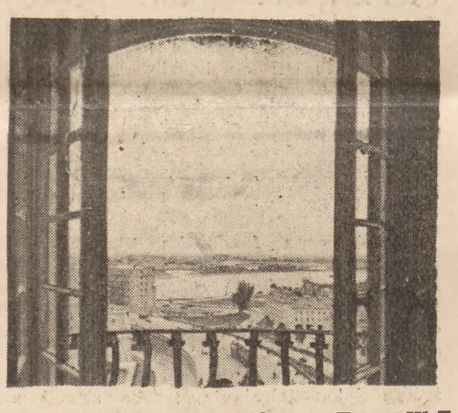

Widok z Domu Literatów na Trasę W-Z i Wisłę

Malarz Wł. Stefan przy pracy w Domu Literatów

Roboty sztukatorskie

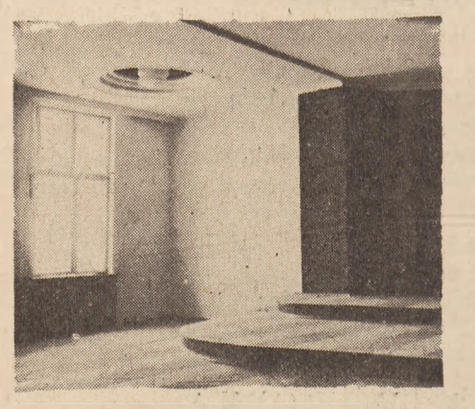

Fragment sali zebrań

Grupa wyróżnionych robotników budowlanych. Od lewej: grupowy Arciszewski, Lubelski, Kacprzyk, Stromecki

Wyróżniona grupa murarzy. Od lewej: Olszanowski, Sitek, Zaniewicz, Mizerski Wincenty, Walerych, Mizerski Zygmunt (majster)

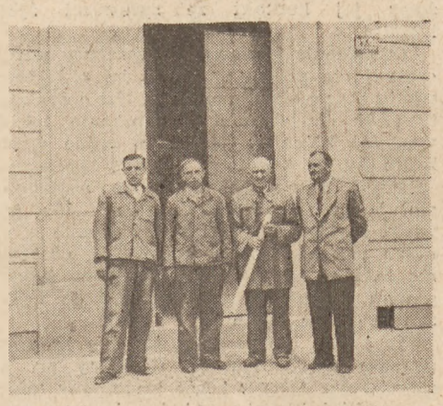

Wyróżniona grupa cieśli. Od lewej: Czechowski. Nowicki, Kaulenes, Falkowski (majster)

Front kamienicy Johna i Prażmowskich, gdzie mieści się nowa siedziba Związku Literatów

KORESPONDENCJA

POLSKIE FILMY RYSUNKOWE

Jako pracownik studia filmów rysunkowych grupy „Śląsk" chciałbym odpowiedzieć na artykuł ob. Ołanieckiego („Nowa Kultura" nr. 10), który omawiając dziedzinę twórczości filmów rysunkowych w ZSRR i Czechosłowacji, w zakończeniu artykułu poruszył sprawę filmów rysunkowych w Polsce.

Film rysunkowy u nas, jak sam autor artykułu przyznaje, miał złe tradycje a właściwie nie miał żadnych. Zaledwie dwa lata pracy grupy „Śląsk", w czym przede wszystkim trzeba było uwzględnić organizowanie placówki, nie mogą stanowić podstawy do wyrokowania.

Załamywanie rąk dlatego np., że publiczność polska nie oglądała jeszcze ani jednego filmu rysunkowego polskiej produkcji, przedstawia całą rzecz w fałszywym świetle.

Autor pisząc o filmie rysunkowym w Polsce nie przytoczył ani jednego przykładu twórczości, a jest ich już kilka. Dwa filmy są już ukończone, dalsze dwa będą ukończone w przyszłym miesiącu. W obecnej chwili grupa „Śląsk" przystępuje do realizacji piątego z kolei filmu na temat walki o pokój pt. „Nowe jutro". Kosztorys filmu przewiduje rozszerzenie zespołu do 40-tu ludzi.

Reprodukujemy przysłany przez autora listu rysunek do jednego z filmów grupy „Śląsk"

Ob. Ołaniecki wymienia dwa nazwiska (i to nie fachowców filmowych), którzy interesują się filmem rysunkowym. O pracy, która została już zrobiona i czeka na fachową krytykę, ani jednego słowa.

Trzeba rozwinąć każdą twórczą myśl. Stworzyć w Polsce dobry film rysunkowy. Niech ludzie twórczy zgłoszą swój udział ale nie na konferencjach Wydz. Artyst. Programowych. Niech przyjdą do pracowni i robią solidną robotę. Bez noszenia się z pomysłami. Już dziś. W Planie Sześcioletnim jest przewidziana budowa miasteczka filmowego.

Mamy zupełną gwarancję, że dziedzina filmu rysunkowego w Polsce Ludowej, znajdzie swoje właściwe miejsce, trzeba tylko ludzi, którzy uczciwie zrealizują te plany.

W zakończeniu chciałbym poruszyć sprawę ukazania się naszych filmów na ekranach.

W obecnej chwili mamy dwa ukończone filmy krótkometrażowe. W najbliższych dniach odbędzie się konferencja w Warszawie celem zrewidowania opinii o tych filmach. Zapraszamy ob. Ołanieckiego. Znajdzie tam niewątpliwie ciekawy materiał do artykułów na temat filmu rysunkowego w Polsce. Niech wszyscy, którym sprawa ta leży na sercu, wypowiedzą się uczciwie i pod właściwym adresem.

Sprawa ta jest niezmiernie ważna dla naszego zespołu i dalszej pracy nad filmem rysunkowym. Jako towarzysze partyjni zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności za odcinek pracy kulturalnej i dajemy wszystko, na co nas stać. Pracując w trudnych warunkach, żądamy jednak, aby naszą pionierską pracę uczciwie oceniano.

Leszek Lorek
(Bielsko)

W SPRAWIE KOŁŁĄTAJA

Do Redakcji Tygodnika
„Nowa Kultura"

W 10 numerze „Nowej Kultury" ukazał się artykuł Jerzego Ziomka p.t. „Walka Kołłątaja o reformę Akademii Krakowskiej". W artykule tym autor twierdzi, że projektodawcą ustawy z końca XVIII wieku o przysyłanie młodzieży na studia lekarskie w Krakowie jest Kołłątaj. Twierdzenie to jest błędne i wymaga sprostowania. Twórcą ustawy jest Rafał Józef Czerwiakowski, profesor Akademii Krakowskiej. Kołłątaj, jako ówczesny rektor Akademii, na prośbę Czerwiakowskiego projekt ustawy wniósł do Rady Nieustającej i gorliwie go poparł. Uniwersał królewski w tej sprawie ukazał się 12 kwietnia 1785 r. O tym, że Czerwiakowski jest właściwym twórcą ustawy świadczy wydana przez niego w roku 1791 praca p.t. „Dysertacja o szlachetności, potrzebie i użytku chirurgii w pożyciu ludzkim, w wojsku, przy połogach i w nauce lekarskiej".

Nieścisła jest również podana przez autora artykułu liczba „150 młodzieńców" wysyłanych przez miasta koronne na studia, ponieważ w roku akademickim 1785/6 213 miast miało obowiązek przysłania 175 uczniów.

Powodem dla którego odpadł cenzus majątkowy w dostaniu się na studia nie jest, jak mylnie twierdzi autor, niska opłata, ale fakt, że opłata za studia była regulowana przez miasto, a nie przez studiującego, albo jego rodzinę.

W innym miejscu artykułu autor podaje, że ukazała się drukiem praca Czerwiakowskiego p.t. „O sztuce położniczej". O dziele takim nic nigdy nie słyszałem. Czerwiakowski z zakresu położnictwa pozostawił jedną pracę, ale w rękopisie p.t. „O położnictwie w powszechności" napisaną w roku 1784.

Bronisław A. Wieczorkiewicz

Stolik montażysty filmowego

Zasłona dymna

Zdarzyła się rzecz niezwykła, niemal epokowa! Senat amerykański, w 55 roku istnienia kinematografii i prawie w 40 lat po założeniu Hollywood, zajął się filmem...

W *zasadzie* troska o film ze strony władzy ustawodawczej jest słuszna.

W Związku Radzieckim, w krajach demokracji ludowych mężowie stanu, parlament, partie kierujące życiem politycznym poświęcają wiele uwagi zagadnieniom filmowym pamiętając słowa Lenina i Stalina: „film to sztuka najważniejsza", „film to najpotężniejszy czynnik agitacji masowej".

O Hollywood dałoby się wiele powiedzieć i niewątpliwie poważni senatorowie (gdyby byli poważni) mogliby i powinni byliby wprowadzić nowe porządki w tym przegniłym mieście.

Zamiast solidnego zajęcia się poczynaniami Hollywood, demokratyczny senator Johnson (bez „t") wystąpił przeciw członkowi partii republikańskiej, „carowi" filmowemu Johnstonowi (przez „t"). Oskarżył on Hollywood o „niemoralność". Ale oskarżenia swego nie poparł przykładami gangstersko - psychopatycznych i erotycznych filmów hollywoodzkich.

Johnson oskarżył moralność Hollywood za:

1) Zachowanie Ingrid Bergman (ucieczka do Europy z Rossellinim).

2) Ślub Rity Hayworth z Aga Khanem.

O Ingrid Bergman, na tle dziesiątków rozwodów, wybujałego nocnego życia i innych objawów „moralności" hollywoodzkiej można powiedzieć że jest prawie niewinna. Jej „grzech" — i stąd wściekłość Johnsona — polega na tym, że „pogardziła USA dla Włocha", podczas gdy Rita pogardziła milionowym kontraktem z „Columbią" dla hinduskiego milionera.

Nad moralnością Hollywood senat debatował 3 dni. Potem Johnson porozmawiał z wiceprezesem Zjednoczenia Amerykańskiego Przemysłu Filmowego, panem Maycrem, który go przekonał, że jest *„wszystko w porządku"*.

Ostatnie zdjęcie ukazuje dwu panów palących fajkę pokoju. Tego rodzaju sprawy zaprzątały uwagę poważnego senatu amerykańskiego.

W tym samym czasie w Holywood:

zatwierdzono wyrok przeciwko dziesięciu postępowym scenarzystom i reżyserom skazujący ich na rok więzienia i milion dolarów grzywny;

bezrobocie wśród techników filmowych podniosło się do 35 proc.;

bezrobocie wśród statystów podniosło się do 46 proc.;

frekwencja w kinach opadła od 10 — 36 proc. w rozmaitych stanach;

wytwórnia „Paramount" zwolniła 14 scenarzystów — realizatorów „w związku z sezonowymi fluktuacjami";

w wytwórni „Warner Bros" technicy zagrozili nowym strajkiem;

wytwórnia „M-G.M." po 15 latach pierwszy raz ogłosiła produkcję filmów o budżecie poniżej miliona dolarów;

wielkie gwiazdy nie zgodziły się na obniżkę honorariów, co wpłynęło na obniżkę poborów statystów.

Ale tego senat USA NIE zauważył. Te zdarzenia przesłonił zasłoną dymną spraw: Bergman — Hayworth.

Puk

TYDZIEŃ KULTURALNY

ROBOTNICY AKTORAMI ZAWODOWYMI

Robotnicy Państwowych Zjednoczonych Zakładów Przemysłu Lniarskiego Nr. 13 w Żarach: Bogusław Zatoński i Józef Żywiec, b. członkowie amatorskiego zespołu dramatycznego zostali zaangażowani przez Państwowy Teatr Polski w Poznaniu do zespołu artystycznego Teatru. Robotnicy ci odbywają obecnie dalsze studia teatralne na koszt państwa.

OTWARCIE WYSTAWY PLAKATU POLSKIEGO W BUKARESZCIE

W Bukareszcie odbyło się uroczyste otwarcie wystawy plakatu polskiego. Pokaz ten zorganizowany przez Biuro Współpracy Kulturalnej z Zagranicą zawiera 78 plakatów 28 naszych grafików.

WYSTAWA DOKUMENTÓW POLSKOŚCI GDAŃSKA

W Państwowym Archiwum w Gdańsku otwarta została wystawa dokumentów i druków obrazujących rozwój stolicy Wybrzeża. Dokumenty te i druki ilustrują wkład polskiej ludności Gdańska w budowę potęgi gospodarczej tego miasta i są wymownym przykładem, jak Gdańsk pod panowaniem pruskim chylił się do upadku, a w okresach ścisłej współpracy gospodarczej z Polską rozwijał się i potężniał. Dokumenty udowadniają również, że Gdańsk od chwili swego powstania zależny był zawsze od Polski i organicznie do Polski stale ciążył.

Liczne eksponaty na wystawie, jak np. dokument nadania miastu przywilejów królewskich, opisy życia mieszczaństwa gdańskiego, kolekcje rzadkich rycin i sztychów, ilustrują skład socjalny i narodowościowy Gdańska w okresie minionych stuleci, jego tendencje rozwojowe itd.

DYSKUSJA NAD WĘGIERSKIM PRZEKŁADEM KSIĄŻKI L. RUDNICKIEGO

Z inicjatywy Instytutu Węgierskiego odbyło się pod przewodnictwem dyr. Instytutu dr. I. Csaplarosa, zebranie, poświęcone omówieniu węgierskiego przekładu powieści Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe" dokonanego przez Belę Baternaya. W dyskusji na której obecny był autor książki, poddano przekład krytycznej ocenie, oraz omówiono sprawę kadr tłumaczy utworów polskich na język węgierski.

ODCZYTY PROF. H. WALLON

Henri Wallon, znakomity uczony francuski, obecnie prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, wygłosił w Warszawie dwa odczyty, pierwszy p.t. „Psychologia a materializm dialektyczny", drugi — „Nauka a pokój".

Mówiąc o największym nieszczęściu jakim jest dla ludzkości wojna prof. Wallon stwierdził, że odkrycia naukowe są wykorzystywane na Zachodzie dla celów niszczenia ludzkości i jej dorobku kulturalnego. Jeszcze dziś uczeni anglosascy prześladowani są, gdy nie chcą oddać swych wynalazków na usługi imperialistycznych podżegaczy wojennych.

Prof. Wallon podkreślił, że tylko uczeni ZSRR i krajów demokracji ludowych oraz postępowi uczeni Zachodu zrozumieli ogrom odpowiedzialności, jaka na nich ciąży i intensywnie pracują dla pokoju i postępu.

WIZYTA PISARZA CZECHOSŁOWACKIEGO

W ramach konwencji kulturalnej polsko-czechosłowackiej, przybył do Polski na miesięczny pobyt pisarz czechosłowacki dr. Karol Rosenbaum.

Dr. Rosenbaum zajmuje się historią literatur słowiańskich oraz krytyką marksistowską. W czasie swego pobytu w Polsce gość czechosłowacki zapozna się z organizacją naszego życia kulturalnego i oświaty, szczególnie dla dorosłych, oraz z aktualnymi zagadnieniami literatury i krytyki literackiej w Polsce.

WYSTAWA POŚWIĘCONA GORKIEMU

Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zorganizowało wystawę ruchomą poświęconą Maksymowi Gorkiemu.

Wystawa, ilustrująca życie i twórczość wielkiego pisarza, przeznaczona jest dla szkół na terenie Warszawy.

Z KONKURSU NA NOWELĘ DO FILMU O WSPÓŁCZESNEJ PROBLEMATYCE POLSKIEJ

W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie jury konkursu otwartego, ogłoszonego w grudniu 1949 r. na pomysł-nowelę do filmu o współczesnej problematyce polskiej.

W skład jury wchodzą: Mieczysław Radomski (Min. Kultury i Sztuki), Tadeusz Żeromski (CRZZ), Juliusz Żuławski (Zw. Literatów Polskich), Rafał Praga (Zw. Zaw. Dziennikarzy), Stanisław Wohl (SPATIF), Tadeusz Karpowski (G. Dyr. Filmu Polskiego), Jerzy Toeplitz (Państw. Wyższa Szkoła Filmowa).

Jury wybrało jako przewodniczącego dyr. Toeplitza, jako wiceprzewodniczącego red. Pragę, jako sekretarza dyr. Karpowskiego.

W związku z dużym napływem prac termin ogłoszenia wyników konkursu otwartego przesunięto na 1 lipca 1950 r.

w.b.s

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Popis absolwentów P.W.S.M.

XXXIX koncert piątkowy Filharmonii (9 bm.) oraz XXIII niedzielny poranek symfoniczny (11 bm.) zostały przeznaczone na doroczny popis absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. W obu tych koncertach wystąpili jako soliści młodzi muzycy parę tygodni temu będący jeszcze słuchaczami konserwatorium, dziś — po otrzymaniu dyplomu — wstępujący na drogę samodzielnego rozwoju artystycznego.

Moment to ważny nie tylko dla każdego z nich, ale i dla całego polskiego świata muzycznego, do którego wchodzą nowe siły, pełne świeżego zapału i entuzjazmu do pracy. Zajmijmy się więc tym razem omówieniem nie tyle samej muzyki ile jej wykonawców.

Na koncercie piątkowym przy pulpicie kapelmistrzowskim stanął *Józef Wiłkomirski*, jeszcze jeden członek sławnej już w Polsce rodziny Wiłkomirskich, która wydała tylu wybitnych muzyków. Nic też dziwnego, że debiutu tego oczekiwano z wielkim zainteresowaniem. Stwierdzić należy, że występ ten nie przyniósł zawodu ani publiczności, ani krytyce. Józef Wiłkomirski posiada zdolności, muzykalność, temperament i zmysł interpretacji, zapowiadający rasowego kapelmistrza. Przepiękna w świeżości i szczerości inwencji, śmiało — jak na owe czasy — instrumentowana uwertura do opery „Paria" *Moniuszki* brzmiała pod dyrkcją Wiłkomirskiego zupełnie dobrze. Genialna Piąta Symfonia *Beethovena* (pisaliśmy o niej w bieżącym sezonie w „Kuźnicy" z dn. 18.XII 1949 r.) prowadzona była z werwą i miała wyraźnie zarysowane kontury. Zwraca uwagę stosunkowo duża swoboda kapelmistrzowskiej gestykulacji. Swoboda ta posunięta jest czasami nawet do przesady. Zalecićby można młodemu dyrygentowi większą ekonomię gestu.

Słabiej zaprezentował się Wiłkomirski w akompaniowaniu solistom. Akompaniament ten wypadł niedość precyzyjnie, co można łatwo wytłumaczyć brakiem rutyny kapelmistrza.

Drugim debiutantem piątkowego wieczoru był *Stanisław Santor* (skrzypce) absolwent klasy prof. J. Jarzębskiego. Wykonał on pierwszą część koncertu D-dur *Czajkowskiego* na skrzypce i orkiestrę. Skrzypek to jeszcze dość surowy, choć nie pozbawiony dobrych zadatków na przyszłość. Szwankuje technika, czystość intonacji, dużo do życzenia pozostawia ton — zbyt suchy i szorstki, koncepcja wykonawcza bardzo jeszcze szkolna. Tempo, w którym Santor grał koncert Czajkowskiego, było o wiele za wolne. Oczywiście, dużo z tego można wytłumaczyć zrozumiałą tremą. Życzymy młodemu wirtuozowi, aby jak najszybciej się jej pozbył i usilną pracą, przy stopniowo nabywanym doświadczeniu doszedł do wyników, na jakie go stać bez wątpienia.

Trzeci z solistów, *Edward Pawlak*, mimo, że oficjalny dyplom uzyskał dopiero obecnie, jest już rutynowanym, choć młodym artystą, znanym dobrze warszawskiej publiczności ze sceny operowej, z ról, które śpiewał w „Strasznym Dworze" i „Eugeniuszu Onieginie". Dysponuje on ładnym, dobrze wyszkolonym materiałem głosowym, śpiewa kulturalnie i — co najważniejsze — czysto, dając tym dobre świadectwo swej muzykalności. W wykonaniu Pawlaka usłyszeliśmy dwie arie operowe: z „Eugeniusza Oniegina" *Czajkowskiego* i z „Cyrulika Sewilskiego" *Rossiniego*.

*

Niedzielny poranek symfoniczny (11 bm.), który stanowił dalszy ciąg popisu studentów P.W.S.M. poświęcony był całkowicie twórczości *Jana Sebastiana Bacha*. Był to więc jakby symboliczny hołd wkraczających w życie młodych artystów złożony wielkiemu mistrzowi w rocznicę dwóchsetlecia jego śmierci.

W programie pierwszej części usłyszeliśmy trzy koncerty instrumentalne Bacha. Koncerty pisał Bach na wzór włoskich mistrzów tej formy, w szczególności Vivaldi'ego, dla którego żywił specjalne uwielbienie. Podobnie więc jak Vivaldi nadawał koncertom formę trzyczęściową: *Allegro* — zwięzłe w konstrukcji, wysnute zazwyczaj z jednej wyrazistej myśli tematycznej, *Adagio* — w postaci śpiewnej, spokojnej arii instrumentalnej i znów *Allegro* — noszące zwykle ślady form tanecznych (często Gigue). Obie części szybkie, a nieraz wszystkie trzy odznaczają się fakturą polifoniczną. Orkiestrze, złożonej z instrumentów smyczkowych przeciwstawia kompozytor jeden, czasem — na podobieństwo concerti grossi — dwa, lub trzy instrumenty solowe. Niektóre koncerty Bacha są przeróbką koncertów Vivaldi'ego (np. koncert a-moll na 4 fortepiany) — przeróbką wzbogaconą zawsze niezrównanym mistrzostwem kontrapunktowym i tym specyficznym rysem monumentalności tak nieodłącznym od wszystkiego, czego dotknęła genialna ręka Jana Sebastiana.

Na omawianym poranku wykonano przy akompaniamencie orkiestry Filharmonii pod dyrekcją *Mieczysława Mierzejewskiego* — koncerty na 2 i 3 fortepiany (w oryginale klawesyny) oraz koncert na dwoje skrzypiec. Taki program nie pozwala ocenić w dostatecznym stopniu gry każdego wykonawcy z osobna, daje natomiast poznać ich zalety zespołowe, tak ważne dla każdego prawdziwego muzyka.

Pod tym względem najlepiej prezentował się w sumie koncert c-moll na 2 fortepiany w wykonaniu *A. Górskiej* i dyskretnie interpretującego swoją partię *R. Łęckiego* (oboje z klasy prof. J. Lefelda). Nieźle wypadł koncert d-moll na 3 fortepiany *(M. Baziukiewicz, H. Dzierżanowska* i *A. Sosnowska* — klasa prof. M. Kazurowej), pomimo pewnej niedbałości w szczegółach technicznych i zespołowych.

Przepiękny koncert na 2 skrzypiec, wyróżniający się spośród innych wyraźną dwutematycznością części pierwszej, wykonali *Z. Bąkowski* (tegoroczny absolwent P.W.S.M.) i *J. Karoń* (obaj z klasy prof. J. Jarzębskiego). W wykonaniu tym znać było silną tremę, która spowodowała pewne grzechy w intonacji i — od czasu do czasu — „rozmijanie się" solistów z orkiestrą.

W drugiej części programu wykonano kantatę „Magnificat", którą słyszeliśmy niedawno w doskonałym wykonaniu ze współudziałem poznańskiego chóru im. ks. Gieburowskiego. W przygotowaniu chóru i solistów widać było wytrwałą i sumienną pracę prof. *Wincentego Laskiego*, który dyrygował również całością utworu. Chór Państw. Wyższej i Średniej Szkoły Muzycznej w Warszawie nie dorównuje oczywiście poznańskiemu. Na ogół śpiewał jednak czysto i poprawnie, jeśli przemilczymy niektóre, dość poważne „nieszczęśliwe wypadki". Z solistów studentów P.W.S.M. najlepiej zaprezentowała się dosyć już dojrzała muzycznie *J. Wątkowska* (sopran) oraz *J. Rysiński* (tenor). Dobrym materiałem głosowym o różnym stopniu wyszkolenia dysponują pozostali soliści: *M. Rysiówna* (alt), *J. Dylewska* (mezzo-sopran) i *Z. Skwara* (bas).

Ogólnie biorąc, oba popisy warszawskiej P.W.S.M. wykazały sporą nierówność poziomu młodych wykonawców. Jeśli wziąć pod uwagę że z czterech absolwentów dwóch najbardziej obiecujących jest właściwie wychowankami łódzkiej P.W.S.M. (Pawlak oraz Wiłkomirski, który do Warszawy przybył dopiero ubiegłej jesieni) — trzeba stwierdzić, że rezultatami pracy Warszawskiego Konserwatorium nie możemy być zachwyceni. Nie można się temu jednak zbytnio dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, że uczelnia ta pracuje ciągle jeszcze w warunkach o wiele trudniejszych i cięższych, niż inne szkoły muzyczne w Polsce. Wierzymy, że i na tym odcinku życia muzycznego będziemy obserwować stopniową, lecz stałą poprawę.

Wawrzyniec Żuławski

POLONICA WĘGIERSKIE

Rok 1950 przyniósł wielkie ożywienie w dziedzinie stosunków kulturalnych węgiersko-polskich. W styczniu zorganizowany został „Tydzień Muzyki Polskiej" w Radio Węgierskim, z okazji którego bawił w Budapeszcie Grzegorz Fitelberg.

W lutym ukazała się na węgierskim rynku księgarskim jedna z naszych najlepszych książek „Stare i Nowe" Lucjana Rudnickiego, z przedmową Romana Karsta, w znakomitym tłumaczeniu Beli Baternay'a. Książka ta wzbudziła żywe zainteresowanie wśród czytelników węgierskich i spotkała się z bardzo przychylnymi krytykami prasy. W najbliższym czasie węgierskie wydawnictwo Partyjne SZIKRA wyda z literatury pięknej „Rzeczywistość" Putramenta „Popiół i diament" Andrzejewskiego i „Traktory zdobędą wiosnę" Zalewskiego, z literatury polityczno-społecznej ukazała się już broszura „Tradycje rewolucyjne ludu polskiego". W druku znajduje się „U źródeł września" W. Grosza. Wydawnictwo państwowe REVAI przewiduje w roku bieżącym wydanie ok. 12 pozycyj polskich. Są to m. inn. „Antologia poezji polskiej", „Wybór utworów Mickiewicza", „Ziemia w jarzmie" Wasilewskiej, „W Grzmiącej" Kowalskiego, „Fundamenty" Pytlakowskiego, „Przedwiośnie" Żeromskiego i wiele innych. Ogółem na węgierskim rynku wydawniczym ukaże się w bieżącym roku ponad 15 pozycyj polskich.

W ramach Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy, który na Węgrzech odbywa się w czerwcu, ukaże się tam wśród 46 nowych pozycyj książkowych o łącznym nakładzie 650 tys. egzemplarzy, m. inn. książka znakomitego pisarza węgierskiego Illes Gyuli, poświęcona życiu generała Bema i Petöfi'ego, który w okresie węgierskiej Wiosny Ludów był jego adiutantem.

Specjalną pozycję w polsko-węgierskiej wymianie kulturalnej stanowią wystawy. W roku 1948 Budapeszt oglądał wystawę „Warszawa w odbudowie" i „Wystawę polskiej ilustracji książkowej", w roku 1949 w związku z Rokiem Chopinowskim, wystawę chopinowską. Ostatnio w maju rb. otwarta została Wystawa Plakatu Polskiego, złożona z 70 prac nadesłanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki (plakaty Tomaszewskiego, Lipińskiego, Bermana, Zakrzewskiego i innych). Wystawa, zorganizowana przez Węgierski Instytut Kontaktów Kulturalnych, otrzymała bogatą oprawę dekoracyjną.

Prasa węgierska podkreśla, że polska sztuka plakatowa stoi na wysokim poziomie, że cechuje ją bogactwo i różnorodność formy, wzniosłość i zwartość treści ideologicznej, czytelność i duże walory kolorystyczne zapewniając jej czołowe miejsce na arenie międzynarodowej.

Na miesiąc czerwiec przewiduje się otwarcie w Budapeszcie Wystawy Polskiej Sztuki Ludowej.

Moment otwarcia wystawy plakatu polskiego w Budapeszcie w dniu 9 maja br.

KSIĄŻKI NADESŁANE

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Stefan Pieniążek. Liber latinus. I. Cz. 1. Początki nauczania języka łacińskiego. Cz 2. Słowniczki. Preparacje. Wrocław, 1950; cz. 1 str. 65 i 1 nl i 9 knl (mapy); cz. 2 str. 126 i 2 nl.

PRASA WOJSKOWA

H. C. Engelbrecht i F. C. Hanighen. Handlarze śmierci. Zarys rozwoju handlu i przemysłu wojennego. Wydanie czwarte. Autoryzowany przekład **Aleksandra Dobrota.** Posłowie **Wojciecha Byliny.** Okładkę projektował **Mieczysław Berman.** Warszawa 1950; str. 369 i 3 nl.

W. Katajew. Syn pułku. Okładkę projektował **J. M. Szancer.** Warszawa, 1950; str. 202 i 2 nl.

W. Niemcow. Błękitny promień. Tłumaczył z rosyjskiego **Janusz Przymanowski.** Ilustracje wykonał **Krzysztof Henisz.** (Nauka — Fantazja — Przygoda). Warszawa, 1950; str. 93 i 3 nl.

Helena Wolańska. Spotkania w lasach. Tłumaczył **Jan Nepomucen Miller.** Okładkę projektował **Tadeusz Gronowski.** Warszawa, 1950; str. 155 i 5 nl.

Aleksy Tołstoj. Obrona Carycyna. Przekład z rosyjskiego **Zofii Satanowskiej** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 13). Warszawa 1950; str. 109 i 3 nl.

Jan Wilczek. „Słowianka". Okładkę i ilustracje wykonał **I. Dybczyński.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 18). Warszawa, 1950; str. 110 i 2 nl.

Jerzy Pytlakowski. Pafawag. Wydanie drugie. Z opowieści **Jerzego Pytlakowskiego** „Fundamenty" wybrał i opracował **M. Rękas.** Ilustracje wykonał **Witold Kalicki.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I Popularne Wypisy Literackie. 6). Warszawa, 1950; str. 118 i 6 nl.

Konstanty Tokariew. W Salskich Stepach. Przekład z rosyjskiego. (Biblioteka Żołnierza. Seria II Popularno-Naukowa. 13). Warszawa, 1950; str. 44 i 4 nl.

Marian Skierczyński. Wybijanka. Gra drużynowa (Główny Urząd Kultury Fizycznej. Popularna Biblioteczka Sportowa). Warszawa, 1950; str. 39 i 1 nl.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Joseph Conrad (Konrad Korzeniowski. Smuga cienia. Przełożyła **J. Sienkiewiczówna.** Warszawa, 1950; str. 161 i 3 nl.

Vladimir Pozner. Stany nie bardzo zjednoczone. Przekład autoryzowany **Alicji i Anatola Sternów.** Warszawa, 1950; str 269 i 3 nl.

Frano Kral. Zakręt pod Rachowem. Przełożył z słowackiego **Feliks Gwiżdż.** Warszawa, 1950; str. 284 i 4 nl.

Wiaczesław Szyszkow. Jemelian Pugaczow. Powieść historyczna. Tom drugi. Część 1, 2 i 3. Przełożył z rosyjskiego **Czesław Jastrzębiec Kozłowski.** Warszawa, 1950; cz. 1 str. 304 i 4 nl.; cz. 2 str. 215 i 3 nl; cz. 3 str. 247 i 3 nl.

Stanisław Ryszard Dobrowolski. Notatnik warszawski. Na okładce reprodukowano drzeworyt **Tadeusza Cieślewskiego-syna.** Warszawa, 1950; str. 155 i 5 nl.

Vladimir Pozner. Ludzie z jednej wsi. Przekład autoryzowany **Jadwigi Olędzkiej.** Warszawa, 1950; str. 220 i 4 nl.

Willi Bredel. Spotkanie nad Ebro. Przekład autoryzowany **Marii Leśniewskiej.** Warszawa, 1950; str. 215 i 3 nl.

OD REDAKCJI

W artykule Jerzego Bogusza p.t. Architektura wystaw, zamieszczonym w n-rze 10-ym „Nowej Kultury", materiał ilustracyjny nie pochodził od autora, co na jego prośbę komunikujemy.

mała kronika

Różnie można pojmować obowiązki pisarza. Ja je pojmuję wcale nie patetycznie. Dobrze jest pisać dla potomności, ale jeszcze lepiej dla współczesnych. Piękną jest rzeczą obejmować spojrzeniem cały świat, ale jeszcze piękniej pochylać karku nad pojedynczym zagonem. Jak rolnik, który cierpliwie oczyszcza pole ze stonki ziemniaczanej.

Jak wiemy, samoloty amerykańskie zrzuciły stonkę nad Niemiecką Republiką Demokratyczną. Wiatr przywiał ją i na nasze kartofliska, zaraził również pola Austrii. Kiedy prasa demokratyczna zdemaskowała prowokację, imperialiści nabrali pomyj w usta a potem — wyparli się wszystkiego. Nigdzie stonki nie zrzucali, nadmiar kartofli utopią w morzu, nigdy im w głowie nie postało, aby wygłodzić demokratyczną Europę. I nigdy w walce politycznej i ekonomicznej nie uciekali się do parszywych środków. Owszem, zawsze szli z odkrytym czołem. Biblia w jednej — a pamiętniki Forda w drugiej łapie. Nie truli przy pomocy opium narodu chińskiego, nie głodzili Hindusów, nie zdzierali pasów z Filipińczyków, nie pomagali Kruppowi, nie nasyłali interwentów na Rosję Radziecką, nie kumali się z IG-Farben, nie dawali broni Czang-Kai-Szekowi, nie prowadzili wojen kolonialnych, nie łupili narodów — skąd więc myśl o stonce? Bomba atomowa — o, to co innego! Handlować idziemy z Biblią, ale potem ją rzucamy, bierzemy do rączki bombę i nie chcemy już słyszeć o Kazaniu na Górze, jak powiada generał Bradley, amerykański „wódz" naczelny. A kierownik centrali szpiegowskiej Elmer Davis: „Nie przemawia do mnie argument, że bomba atomowa jest najbardziej nieludzką bronią, której użycie sprzeczne jest zarówno z etyką żołnierską jak i z moralnością chrześcijańską. Osobiście nie widzę wielkiej różnicy — chyba że w rentowności i szybkości działania — między bombą atomową a ogniem artyleryjskim."

Ale najpierw bombą jak stonką zaraża się umysły ludzkie. Łazi ona po głowach niektórych ludzi natrętnie jak wesz. Weźmy takich Duńczyków. Krowy, masło, ser, trochę bagna, trochę łąki, sporo morza i jedna Kopenhaga. Czego się bać? A boją się. Niedługo każdy Duńczyk będzie musiał nosić przy sobie rolkę z filmem. W kieszeni. Jak nie ma kieszeni, to na szyi, jak szkaplerz. Po co? Po to: kiedy nad jego głową wybuchnie bomba atomowa, film się naświetli i automatycznie wykaże, jakie uszkodzenia i obrażenia poniósł jego właściciel. Wtedy sanitariusze wygrzebią obywatela spod gruzów i wyleczą go raz dwa. Chyba, że Duńczyk wyparuje w powietrze od gorąca. Nie wynaleziono jeszcze aparatu, który by łapał parę i skraplał ją z powrotem w Duńczyka. To budzi niepokój. Siedzisz sobie w parku z dziewczyną, układasz plany na przyszłość i budżet na wózek dziecinny, gdy nagle podchodzi do was uśmiechnięty policjant, przykłada dłoń do kasku i pyta uprzejmie: „Proszę okazać filmy." Sprawdza, że nieuszkodzone, i odchodzi, równie uśmiechnięty jak przedtem. „Nie, nie będziemy mieli dzieci" — mówi z pasją dziewczyna a mężczyzna spluwa z obrzydzeniem na nieskazitelnie utrzymany trawnik. Mają materiał do rozmyślań.

My też go mamy. Codzienna walka o pokój — jest jak walka ze stonką. Wiatr przynosi coraz to nowych szkodników. Trzeba zaglądać pod każdy krzaczek kartofla, zbierać nie tylko żywe owady, ale również jajeczka, które składa płodny owad. Płodny w każdej dziedzinie. Także w kulturalnej. Cóż z tego, że nieraz nieświadomy, kiedy szkodliwy! Objeżdżałem niedawno okolice Katowic, byłem w muzeum w Oświęcimiu, zwiedzałem domy kultury, pogadywałem sobie z ludźmi. Objeżdżałem okolice — i muszę je jeszcze raz objechać. Tym razem w kronice. Co raz napotykałem się na stonki. Te stonki siedzą po dyrekcjach przeróżnych hut i nie dbają o pracę kulturalną i oświatową. Nie wiedzą, że kultura to siostra produkcji. I hamują awans kulturalny klasy robotniczej. Stonki kłamią w żywe oczy związkom zawodowym, że nie mają budżetu na remont domów kultury. Nie mają, bo nie wstawili do preliminarza, gdy była na to pora. Zlekceważyli. Gdzie są takie stonki? Na hucie „Zabrze". Na hucie „Pokój" były inne. Stonki z „Pokoju" przeznaczyły pieniądze z Domu Kultury na budowę Gospody, gdzie sprzedawało się wódkę. A dla 16 zespołów artystycznych oddano — trzy izby. Na ćwiczenia chłopcom ze Służby Polsce — balkon sali teatralnej. W pozostałych salach — pokoje kawalerskie, gościnne i inne. Działaczom związkowym grozi się przeniesieniem na gorszą pracę w hucie. Parę stonek na hucie już rozgnieciono, może dobiorą się i do reszty.

Czyż wybrała stonki powiatowa Rada Związków Zawodowych, która nadesłała do huty „Florian" materiały na tydzień oświaty — w czerwcu? I zażądała sprawozdań?

Czyż nie jest podobny do stonki mistrz Rzeszutka, charakteryzator z katowickiego teatru im. Wyspiańskiego, który za charakteryzację aktorów na dwu przedstawieniach „Niemców" zażądał od robotniczego zespołu — 70 kafli? A każdy kafelek — to tysiąc złotych?

Czyż nie żerują stonki na muzeum oświęcimskim, jednym z większych skandali kulturalnych w Polsce? Czemu pozwolono im urządzać salę „artystyczną", gdzie wystawia się przeważnie bohomazy prominentów obozowych, malowane na rozkaz Hoessa i innych SS-Mannów, daje się oglądać pochlebne portrety faszystów, pornograficzne oleodruki, fotografie rzeźb żołdaków niemieckich i mówi się, że to „sztuka wolnościowa"? Gdzie wiszą przyjacielskie karykatury SS-Mannów bez słówka wyjaśnienia? Gdzie się fałszuje historię i oblicze klasowe obozu, tworząc mit solidaryzmu prominentów i masy więźniów? Gdzie sprzedaje się idiotyczne wierszydła niejakiego Stańkowskiego? Gdzie pod fotografiami daje się głupawe podpisy? Zdjęcie pokazuje stos okularów. Podpis: „Nie każdy jednak nosił okulary." Na zdjęciu — buty. Podpis: „A właściciele poszli do komory gazowej." Dobry humorek, sam lubię być po oświęcimsku cyniczny; wszędzie — tylko nie w Oświęcimiu. To już nie stonka, to już całe jej ognisko. Chciałem o tym napisać większy artykulik, ale obrzydzenie mnie wzięło.

Czyż nie jest stonką dyrekcja „Baildonu", która nie umiała przez długi czas dać mebli dla Domu Kultury? Dyrektor sportowiec, na sport pieniądze znalazł a na kulturę — nie ma. Nie ma. Nie ma. I dajcie mu święty spokój! Tak samo mówi stonka ziemniaczana. Ale jej spokoju nie dajemy.

Różnie można pojmować obowiązki pisarza. Przede wszystkim — powinien być pisarzem. Ale powinien również uderzać tam, gdzie trzeba wbić ćwiek, naprawiać to co się psuje, ochraniać to co się rodzi. I wybierać żartobliwe stonki, gdy mu podlezą pod palce. Nie tylko zresztą jego obowiązkiem. Obowiązkiem wszystkich ludzi, którzy troszczą się, aby drzewo kultury rosło zdrowe i potężne.

Tadeusz Borowski

Komentarze

Personalistyczna apologetyka

W związku z ostatnim namiętnym wyrazem apologetyki personalistycznej „Tygodnika Powszechnego", gdzie Jerzy Turowicz przechodzi do ataku, wzywając na pomoc „Action" i wypaczając kontekst z artykułu o Mounierze, zamieszczonego w „Nowej Kulturze" (o „dezercji i zdradzie" była tam mowa w związku z postawą Mouniera nie pod okupacją, ale wobec konfliktu między obozem imperialistycznym a obozem pokoju), odsyłamy tych, którzy pragnęliby znać szczegóły wypowiedzi Mouniera z pierwszego okresu okupacji, do broszury Roger Garaudy'ego pt. „List do Emanuela Mounier" oraz do kwietniowego numeru „La Nouvelle Critique" (zbiór artykułów pt. „Esprit zrzuca maskę"). Zebrane tam są m. i. cytaty z zeszytów „Esprit" z r. 1940 i 1941, utrzymane w duchu niewątpliwie propètainowskim (pochwały „paternalizmu", ankieta na temat „szefa" i in.). Wypo-

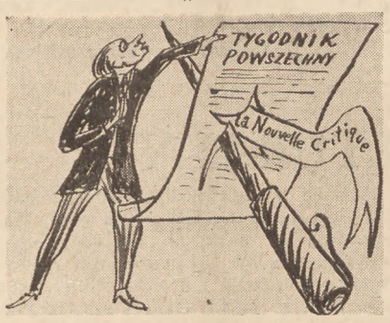

wiedzi te dziś „Esprit" tłumaczy jako konieczny wówczas kamuflaż. Wiemy, że Ruch Oporu ani u nas ani we Francji nie stosował kamuflażu, ale — od początku — konspirację i walkę.

Tyle w sprawie zakwestionowanych faktów.

i. k.

Geniusz pod światło

W jednym z ostatnich numerów „Nowej Kultury" wykazaliśmy jak to pewien „poeta" produkujący się w tygodniku „Dziś i Jutro" popełnił brzydkie plagiaty z Miłosza i Różewicza. Zabolało to redakcję owego pisma i w ostatnim jego inumerze (23), niejaki Licho usiłował odeprzeć naszą „kalumnię". Z braku innych argumentów „imieniem — jak pisze — kierownictwa literackiego" swego pisma zakomunikował, iż proza poetycka Antoniego Podsiada „powstała w okolicach roku 1945". Wobec tego przypomi-

namy ob. Licho (czy może Lisze?) iż w n-rze 226 „Dziś i Jutro" Mikołaj Rostworowski anonsując debiut Antoniego Podsiada podał do wiadomości czytelników że „poeta" ów liczy 17 wiosen. Stąd już łatwo wywnioskować na podstawie znajomości matematyki w zakresie szkoły powszechnej, iż w roku 1945 Antoni Podsiad liczył sobie wiosen 12.

Zważywszy, iż tomik Tadeusza Różewicza ukazał się w r. 1948, a wiersz Miłosza drukowany był w n-rze 40 „Nowin Literackich" z roku 1948—nietrudno stwierdzić, iż widocznie obaj poeci „zerżnęli wiersze od 12-letniego polskiego Rimbauda. Powstaje tylko pytanie: w jaki sposób Miłosz i Różewicz „zapożyczyli się" u Podsiada skoro utwór owego młodzieńca nie był drukowany aż do kwietnia 1950 r.?

P.S. Dodam jeszcze, że wiersz Miłosza wg. jego własnych wyjaśnień, pisany był w listopadzie 1944. Antoni Podsiad miał wtedy lat 11 i zapewne w krótkich spodniach uczęszczał do szkoły powszechnej. Jeżeli się mylę, to bijcie Rostworowskiego.

grz.

Howard Fast w więzieniu

Za kilka dni otworzą się gościnne wrota amerykańskiego więzienia przed jednym z najznakomitszych pisarzy Ameryki — Howardem Fastem. Autor „Drogi do wolności" popełnił straszne przestępstwo: odmówił odpowiedzi na pytanie przewodniczącego „Komisji dla badania działalności nieamerykańskiej", który zagadnął Fasta, czy jest komunistą. Pisarz, powołując się na konstytucję amerykańską, odpowiedział, że kwestia przekonań politycznych jest sprawą sumienia każdego obywatela i nikt nie ma prawa wtrącać się do tego. Fast został skazany na karę więzienia za „obrazę Kongresu". Obecnie, po odrzuceniu apelacji, wyrok uprawomocnił się.

Tak więc zadraśnięty w swej dumie Kongres „obraził się". Pogniewał się na Fasta parlament, którego niejeden członek uzyskał mandat przekupstwem i wymuszeniem i który nieraz był widownią wielkich afer korupcyjnych. Fast okazał się człowiekiem źle wychowanym, przebywającym co gorsza w nieodpowiednim towarzystwie Lincolnów, Waszyngtonów, Paine'ów, Jeffersonów itd. Wprawdzie ich posągi ozdabiają sale Kongresu, ale to są tylko martwe postaci, milczące i nieszkodliwe, podczas gdy Fast ma zły zwyczaj przemawiania i pisania powieści, występowania w obronie Murzynów, uciśnionych robotników i co najgorsza... w obronie pokoju. Fast dawał zawsze świadectwo prawdzie, którą przecież wygnano z Kongresu, i uczciwości, która przepadła w wyborach przed

wielu, wielu laty. Wreszcie Fast jest rzecznikiem woli i interesów ludu amerykańskiego, dla którego progi Kongresu są za wysokie. Toteż urażony parlament postanowił udzielić pisarzowi lekcji dobrego wychowania... w więzieniu. Jeszcze jeden dowód troski o kulturę obrońców „zachodniej cywilizacji".

Ks/

Jeszcze w sprawie książki B. Marshalla

Paweł Jasienica w długim, całokolumnowym artykule („Dzis i Jutro" nr 20) polemizuje z zamieszczoną w 3 numerze „Nowej Kultury" recenzją L. B. Grzeniewskiego z powieści Bruce Marshalla „Chwała córy królewskiej". W zakończeniu pisze:

„Polityk może z książką Marshalla polemizować. Bo dobra wola, duch ewangelicznej prostoty, miłość ku Bogu i ludziom (cechujące książkę i jej głównego bohatera ks. Smitha — przyp. nasz) to rzeczy godne czci najwyższej... ale trzeba jeszcze mieć program działania, który by wskazywał jak postępować w dziedzinie polityki spraw społecznych i gospodarczych, by świat stał się lepszy. Ks. Smith ani nikt w powieści programu takiego nie posiada. P. Grzeniewski ma rację, kiedy oskarża Smitha o gubienie się w sprzecznościach. Nie ma natomiast racji, kiedy pisze, że ta książka jest napisana „ku chwale kapitalizmu". I nie ma racji twierdząc, ze powieść Marshalla jest „książką wsteczną i szkodliwą".

Wniosek końcowy dużego i dość ostro atakującego naszą recenzję artykułu sformułowany jest jak widzimy ostrożnie, i dzięki tej dobrze obliczonej ostrożności wydaje się nawet dość przekonywujący. Trudno. Trzeba się przyznać. Zawiniliśmy. Zawinił Grzeniewski zbyt surowo formułując sąd o książce, niewątpliwie niepozbawionej artystycznych walorów, zawiniła redakcja nie wpływając na złagodzenie owego recenzyjnego werdyktu. Tak by się przynajmniej każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi doskonale napisanej polemiki wydawało. „Chwała córy królewskiej" mówi przecież naprawdę o pełnym dobrej woli i uczciwym księdzu, który potępia w myślach i stara się przeciwstawić w codziennych, drobnych uczynkach złu, jakie sieje kapitalizm. Dla tych, którzy książki nie czytali, wynika to w sposób oczywisty z przytoczonych przez Jasienicę cytat. Jasienica stawia Grzeniewskiemu poważny zarzut „przykrawania" cytat i w ten sposób fałszowania sensu wypowiedzi Marshalla. Przykre.

A jednak niech nie dziwi się P. Jasienica, kiedy ten sam przykry zarzut przykrawania cytat postawimy również i jemu, w jego ocenie naszej recenzji „Chwały córy królewskiej". Jeżeli bowiem Grzeniewski podaje, że książka napisana jest „ku chwale kapitalizmu", to poprzedza to dłuższym wywodem, którego Jasienica nie cytuje. Grzeniewski wyjaśnia w nim szkodliwość „lepszego", „poprawionego" kapitalizmu, z jakiego wyobrażeniem stykamy się u Marshalla i jego bohaterów. Grzeniewski używa również terminu „kapitalizm poprawiony Watykanem". No tak, bo przecież niezależnie od króciutkiego rozdziału XXIV, którego lekturę zaleca Grzeniewskiemu Jasienica, jest jeszcze cała reszta książki, gdzie najwyższą instancją bohaterów jest — bo nie może nie być — głowa Kościoła rzymskiego.

Cóż bowiem z tego, że ks. Smith oburza się na wyzysk robotników, jeżeli całym swoim życiem oraz metodami postępowania, i to zarówno praktyką jak ideologią, w imię której takich właśnie metod się trzyma, ideologią pokory, posłuszeństwa swojej władzy kościelnej i władzy świeckiej, dowodzi, całkowitej beznadziejności walki na ziemskim padole z tym, co tak gorąco potępia.

To coś więcej niż brak programu działania, który przyznaje Jasienica, to w praktyce akceptacja metod kapitalistycznych. Łagodzenie ich skutków szlachetnym wysiłkiem jednostek w rodzaju ks. Smitha dostarcza tylko argumentów zwolennikom istniejącego porządku, czyni ten porządek „znośniejszym, moralniejszym". Czyż nie?

Może Jasienica twierdzi, że Bruce Marshall nie chce „poprawić" kapitalizmu, lecz tak jak my, chce całkowicie zniszczyć ów system, wyrwać go z korzeniami? Żeromski, pisząc „Przedwiośnie" napewno bardziej był postępowy od Marschalla, a przecież jak udowodniła krytyka marksistowska, rzucał jedynie słowa ostrzeżenia dla tych, którzy za wszelką cenę pragnęli utrzymać ów system. „Przedwiośnie" na tle rzeczywistości polskiej dwudziestolecia, mogło w walce z endecką kołtunerią odgrywać rolę postępową, ale czy zabawnie poczciwy i poczciwie bezradny szkocki księżyna — na tle zorganizowanej walki angielskiej klasy robotniczej, w roku 1950, to rzeczywiście postać więcej niż groteskowa? O czym chce nas przekonać Jasienica, opowiadając ze swadą, jakie ogromne znaczenie ma pokazanie naszym katolikom, że kościół w Szkocji jest kościołem biedaków?

Jasienica pisze: „Kwestia powinna być postawiona następująco: w roku 1949 ukazuje się w Polsce przekład angielskiej powieści katolickiej; jaki wpływ wydarzenie to może wywrzeć na postawę i sposób myślenia katolików polskich w realnie istniejących warunkach połowy XX stulecia?"

Nie wiem, czy tak kwestia powinna być postawiona. Nie uważam, aby w Polsce było miejsce na kulturalne „ghetto" katolików, ani też na żadne inne „wolne strefy" oddziaływania. To jest znana już dziś teza reakcji. Na Zjeździe Polonistów lansowali ją ci profesorowie, którzy utożsamiając marksizm z wulgarnym socjologizmem proponowali, aby marksiści zajmowali się pewnymi tylko zagadnieniami na swoim podwórku, a na innych dali sobie spokój, pozostawiając je nie-marksistom. Nie ma tak dobrze. Jeśli „Pax" wydaje książkę, a my ją recenzujemy, to pragniemy ustalić jej obiektywny, klasowy sens, a nie, jaki to może mieć wpływ na „katolików". My pytamy jaki wpływ ma książka na czytelnika związanego z ideologią klasy robotniczej, względnie czytelnika stojącego po stronie burżuazji. Co Jasienica chce udowodnić, mówiąc, iż jeśli katolicki czytelnik polski dowiaduje się od Marshalla, że można być wzorowym katolikiem także wtedy, gdy kościół jest prześladowany, to „taka wiadomość znakomicie rozszerza intelektualny horyzont... w sposób — ze względu na czas wielkich przemian, w jakim żyjemy — najbardziej pożądany"?

Przez kogo pożądany? Komu zależy tutaj na zasugerowaniu, że analogia z prześladowaniem kościoła w Szkocji jest u nas jakoś aktualna? Dlaczego mu na tym zależy?

Jeżeli Jasienica chce zacząć z tej beczki — proszę bardzo. Można stosunkowo łatwo wykazać, że opublikowanie w roku 1949 w Polsce przekładu książki Marshalla nastąpiło bynajmniej nie po to, aby służyć sprawie naszych „wielkich przemian", ale po to, aby głosić błędną, neopozywistyczną tezę, że jeśli w Szkocji biedni katolicy przetrzymali, to i u nas trzeba robić dobrą minę do złej gry.

Jeśli książka służyć ma wykazaniu, że katolicki ksiądz może być też uczciwy i postępowy, to sądzę, iż cały stosunek Polski Ludowej do kościoła i katolików dowodzi, że nikt nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Natomiast wydaje się bezsporne, że właściwego stosunku do rewolucyjnych przemian i do socjalizmu nie może czytelnika polskiego nauczyć pisarz kraju, w którym rządzi burżuazja, nie związany z klasą robotniczą tego kraju. Jeżeli bowiem książki takie jak powieść Marshalla nie pełnią nawet tam, gdzie się ukazują jedynie funkcji sygnału alarmującego dla rządzących, lecz także w jakimś bardzo skromnym zakresie uświadamiają o bolączkach systemu, to u nas zakres uprawianej przez nie krytyki kapitalizmu i proponowane rozwiązania nie mogą nie być uznane za całkowicie zdystansowane przez naszą rzeczywistość i całkowicie anachroniczne. Że kto z ostępów Ciemnogrodu powiedział — jak informuje nas Jasienica — „po co nam te miazmaty" i wolał poprzestać na Sienkiewiczu? Więc co? Co z tego? Ładne perspektywy myślowego wyrobienia swoich czytelników kreśli Jasienica.

Wracając do książki Marshalla trzeba powiedzieć, iż zwolennikom socjalizmu nowych perspektyw ona nie ukaże, jej oddziaływanie na niezdecydowanych wydaje się wątpliwe, bo mało jest ludzi, którzy zechcą walczyć ze złem kapitalizmu nie widząc perspektyw zwycięstwa, przeciwnikom natomiast — to pewne — wskazać może ona najwłaściwszą taktykę dostosowania się do niemiłej im rzeczywistości. Czy jednak tylko o to chodzi? Przecież nie o to, prawda?

r. m.

Odpowiedzi Małej kroniki

Towarzysz Władysław Wach. Chodaków, Fabryka. Serdecznie się ucieszyłem Waszym listem, Towarzyszu. I sądzę, że macie w zupełności rację. Trzeba nacisk pisarzy, artystów, malarzy, aby wiązali się z życiem kulturalnym klasy robtniczej i chłopstwa. I trzeba piętnować przejawy biurokratyzmu, jaki panoszy się w Powiatowej Radzie Związków Zawodowych. Zapytujemy Powiatową Radę ZZ w Sochaczewie: co ma na swoje usprawiedliwienie, że się nie zajęła „Karhanem"? I czekamy na odpowiedź.

A może byście, Towarzyszu Wach, napisali nam artykuł o Waszych wyjazdach w teren, o kontakach z innymi fabrykami, o doświadczeniach nad „Karhanem"? Przecież czas najwyższy, abyście zaczęli zabierać głos w swoim czasopiśmie. Towarzysze.

K. I. Gałczyński. Przekrój. nr. 270 Odpowiedzieliście wierszykiem na kronikę, w której krytykowano działalność Artosu. To bardzo pochlebne dla kronikarza. Stać się tematem wiersza! No, no... Tylko czemu przemawiacie w liczbie mnogiej? Poza tym uważacie, że moje pretensje do Artosu nie były słuszne. Jesteście zwolennikiem żywiołowości działania sztuki. Odbiorcy nie trzeba wychowywać, nie trzeba go przyciągać, nie trzeba mu pomagać, nawet —nie trzeba do niego iść. Wystarczy nalepić afisze, a kto przyjdzie, to wszystko jedno. Słowem — Artos cacy cacy, tylko autorzy nie tacy. I mówicie:

„A naszym skromnym zdaniem tych parę osób
Zwróciło się nie do tego Artosu...
Bo za siódmą górą, dzeci, za siódmą rzeką,
jest taki dobry Artos jak ptasie mleko,
ten dobry Artos przydziela autorom nabite sale,
jak również sławę i talent."

Możliwe, że przydziela. A wiecie, na co trzeba samemu zapracować? Ja myśle, że na rozsądek.

t. b.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-112617